Zyta Rudzka

Tylko durnie żyją do końca

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Zyta Rudzka

Tylko durnie żyją do końca

Copyright © Zyta Rudzka 2025
Wydanie I
Warszawa 2025

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Copyright
Dedykacja
Mam dobre życie…
Zaciągnęłam Ziuta do rzeki…
Roch nas podglądał…
Urabiam się w ludzkim wrzasku…
Tu są porządne drzewa…
Starość wyskrobała z ojca resztki elegancji…
Przy bramie obstąpiły nas psy…
Kupiłam gospodarstwo…
Zwariowałaś, chcesz tu mieszkać…
Cały dzień chodziłam przy ścianach…
Raz w roku dają nam dostęp do kultury…
Myśmy ojca nie zapraszali…
Czcimy wyjazd ojca…
Obudził mnie Ziut…
Dwa chłopy w domu…
Ustawili się do wymarszu…
Idziemy chować…
Siedzę w kanciapie…
Jak ta rzeka…
Nie mogłam zasnąć…

Jest motor…

Grono pedagogiczne…

Do pokoju nauczycielskiego nie zaglądam…

Ojciec nie zapowiadał się…

Jesień wlokła się ciepła…

Mam rękę do bimbru…

Ziut bardziej patrzy na kury…

Siedziałam mokra od rzeki…

Myślałam, czekają na mnie…

Pływałam, wtedy ją zobaczyłam…

Mamy nowego koguta…

Ojciec się zabił…

Droga była pokryta strupem…

Pływałam pół nocy…

Ziut włożył ubranie ojca…

Wstałam…

Szliśmy z Ziutem przez las…

Pociąg nie mógł ruszyć…

Na dworcu czekała na nas Jagoda…

Kelner robił sobie selfie z ciocią…

W tym mieście nie da się spać…

Wysiedliśmy na naszej stacji…

Po ojcu kilka dni pracowałam…

Mam strój do śpiewania…

Poszliśmy nad rzekę…
Tylko durnie żyją…
Strona redakcyjna

Pamięci Ojca

Mam dobre życie…

Mam dobre życie, szczodre jak świński cyc. Ale nie będę się opowiadać. Żadnego nura w przeszłość. Wspomnienia to nie moja konkurencja. Nie startuję w tym.
Odwracam się tylko w czasie treningu. Salto do tyłu. Kilka obrotów w lekkim biegu. Ostra kobra – mocny wychył i głowa między nogi. Śruba w powietrzu przez głowę, ze skarpy do rzeki.
Z kultury poważam kulturę fizyczną. Na pierwszy rzut oka może tego nie widać – uroda zasłania. Wyglądam bardziej na estradę niż do sportu.
Po wsiach nazywają mnie Dolly Parton.
Długo nad tym nie myśleli. Podobieństwo jest uderzające. Mam fryzurę jak tort, figurę jak lizak, a głos jak ptasie mleczko.
To wszystko.
Zwierzeń nie będę podbijać. Nigdy tego nie lubiłam. A dziś całkiem odwykłam od mówienia, otwieram usta wyłącznie, by kropnąć kielicha.
Są ze mną Ziut i Roch, też się nie odzywają.
Pijemy w trójkącie od południa, a już się całkiem za oknem zmroczyło.
To nie są chłopy wstydliwe, ale milczą jak zaklęci. Nie wyglądają ani na smutnych, ani na wesołych.
Po Rochu od razu poznać, że z miasta. Takich twarzy w tej okolicy się nie spotyka, stężała od melancholii, nie nadąża za złym charakterem.
Roch nawet jak leży nawalony z pianą na pysku, prezentuje się na chodzącą dobroć. Wyznał mi kiedyś, że jego pokój dziecięcy był w art déco.
Ziut to synek tej ziemi. Jako dzieciak pracował w polu. Nigdy tego nie lubił. Jego życiowa pasja to usługi wodno-kanalizacyjne. Urodzony i praktykujący hydraulik. W wersji rozrywkowej, bez ubrania, wyraźnie widać, że bicepsy wyrzeźbione przez montaż urządzeń sanitarnych. O taką muskulaturę w urzędzie trudno.

W kobiecie obrotny jak klucz francuski, najlepiej czuje się pod zlewem.
Jest jeszcze z nami pigwa-bimber. Oddana kompanka. Dawno nie piłam, chyba z miesiąc, dziś brakowało mi jej towarzystwa.
Nie tylko piję – również destyluję. Jestem mistrzynią destylacji. Z butlą bimbru własnej produkcji obnoszę się jak z medalem.
To zdrowy bimber od wolnych drzew. Rosną, jak chcą, niepryskane, z daleka widać, że dobrze im u nas.
Linia produkcyjna mi się udała. W sklepie takiego luksusu nie ma, za żadne pieniądze.
Zasada jest prosta. Albo się pije, albo destyluje. Można te rzeczy ładnie połączyć, ale nasze pigwy po pijaku źle się przerabiają. Wolą, jak się przy nich chodzi całkiem na trzeźwo. To dobre owoce, chociaż trudne, każdy znam od pręcików i słupka.
Dużo bym mogła rozprawiać o połączeniu spirytusu z wodą. Nigdy tego nie robię. Lubię pić bez żadnej gadki w tle. Jak destyluję, to nie piję, a jak już piję, to bez dyskusji.
Te całe rozmowy, zwierzenia, awantury, to nie jest dobra zagrycha.
Pigwa-bimber lubi ciszę.
I tu jest cisza, zwykła, taka, co jej nie przeszkadza szczekanie, szuranie i gdakanie.
W tym domu nikt nigdy nie milczał uroczyście. Mojej chałupy żadne dostojeństwo się nie trzyma. Uchlać się do nieszczęścia każdy potrafi. Nie w naszym towarzystwie. My się tu za spokojem uganiamy. Tu jest idylla, eldorado i pełna ekstaza. Żadnej rozróby po wódzie nie chcę. Jest cisza przy bimbrze, a większa cisza tylko pod wodą.

Zaciągnęłam Ziuta do rzeki…

Zaciągnęłam Ziuta do rzeki, niech się zanurzy.
Nie miał siły się opierać, ale łatwo nie było. Mieszkamy wysoko, koryto w dole. Brzeg stromy, poszarpany. Odbić się na główkę trudno, piach podcina.
Kiedyś tu było molo, małe, słabe. Rozkradli. Wiadomo, kilka desek na gospodarce zawsze się przyda. Po co komu pomost, z tutejszych nikt się nie kąpie. Jadą do aquaparku mordę drzeć, czipsy żreć, dupę moczyć.
Może być, że sama rzeka molo wzięła.
Rozlazła, bez ruchu, a nie wiadomo i kiedy, szybka jak bat. Gna fotele, padlinę, otwarte walizy, pudła-telewizory, pralki, buty, szmaty. Raz w roku wybatoży wszystko, znowu spokojna. Na niby, bo oby to raz puszka przejedzie po łydce albo inny utopek zatnie w stopę. Krew zobaczę dopiero na brzegu. Wsiąka w piach, długo idzie, trawa się maże.
Nowych znajomości nie poważam, życiem towarzyskim gardzę. Nie po to miasto rzuciłam, żeby się na rozmowy spotykać.
Pływam w rzece, biegam po lesie. Jeżdżę na motorze, na ostro, slalomem między drzewami. Znam ten las lepiej niż siebie.
Rzeka nie da się poznać. Gdzie nurt, gdzie nowa płycizna. Nigdy nie wiem, kiedy wir za goleń capnie, podtopi, na dno pociągnie.
Więcej mułu niż wody, a muł rusza się tu bardziej niż ludzie. Jak nornice pochowani w niskich domach, a przy każdym klatki, króliki. Lubią jeść wesołe zwierzątka.
Ale psują się tu nie od biedy, a od tego, co bogacze. Od podłych myśli, używek i porządnych miłości.
Władza jak to władza, chciała pomóc. Na nabrzeżu wbiła tablicę: „Zakaz kąpieli. Wiry”. Mała podpowiedź dla samobójców.
Ja do zakazów się nie stosuję. Żadnych znaków na ziemi i niebie do siebie nie biorę.
Miejscowi przychodzą na skarpę tylko za potrzebą nagłej śmierci. Rzeka nie jest wybredna, bierze wszystkich. Taka właśnie jest słodka

woda.
Tylko Ziut tu pływał. Poznaliśmy się w rzece.
Widziałam, przychodzi po robocie, zmęczony, ciężki jak koń pociągowy.
Rozbierał się do majtek. Najpierw długo stał w wodzie po kolana. Jakby patrolował drugi brzeg, a tam nic nie ma. Drzewo przy drzewie. Nużący widok. Ale są tacy, co to lubią.
Potem nachylał się, mył pachy. Prostował się, podnosił ręce nad głowę do strzałki. Wyginał się jak akrobata, prężył w udach, w pośladach. I pach – nur w wodę.
Całe miesiące pływaliśmy jak w innych rzekach. Nie zbliżył się ani razu, w wodzie ani na lądzie.
Zaczęłam go podpływać. Byłam coraz bliżej i bliżej. Okrążałam jak rekin, a dopadłam jak mątwa. Nawet się nie wyrywał.
Teraz już nie pływa. Po szpitalu Ziut jest całkiem lądowy.
Całe dnie wystaje na drodze, że niby na kogoś czeka, rozgląda się, niecierpliwi.
To chłop gruba tyczka, widoczny w terenie. Włosy rozczochrane. Na plecach pukle, w kilku skrętach.
Sąsiadów nie mamy, do wsi daleko, nikt do nas nie zagląda, a nawet i jakby, to Ziut dzieci nie straszy. Wygląda jak ptak z *Ulicy Sezamkowej*.
Miał awarię zdrowotną, czasem nie trafia w słowo. Za bardzo nie słychać, bo prawie się nie odzywa. Dla zmyłki potrafi wyprężyć się w szyi i unieść wskazujący palec, jakby zaraz ruszał do większej przemowy.
Zmienił się. Strach patrzeć na stare zdjęcia, jaka to piękna bestia była.
Opalał się na blachę, mocno chodził, szybko pływał. W wodzie – czarna torpeda.
Jak z rzeki wylazł, mokry, wszędzie niewąski, z urody korzystny, to był widok – musiałam się przebiec, żeby tętno spoczynkowe wróciło.
Dobrze śpiewał.
Repertuar różny, składanki o miłości. Żadnego zawracania gitary, harmonijki czy innego podkładu, tylko Ziut i Ziuta głos.
Ale nigdy na siedząco, za stołem. Do śpiewu podnosił się niby do hymnu. Jak wstał, tak śpiewał. Siekał przeboje, walił tasakiem po

otwartym sercu.
Zanim w wodę weszliśmy, dałam mu posiedzieć.
Pomasowałam mu kark. Ładował się wolno. Ma już stare baterie. Kiedyś chłopak z tych szybkich, teraz nóżka już nie na gazie. W bloki startowe sam nie wejdzie.
Nie śpiewa, tyłka nawet do jednej zwrotki nie uniesie.
Czasem jeszcze prosi przed snem, żebym szpagat zrobiła. Od tego usypia. A ja tak szpagat robię, że to nigdy nie była kołysanka.
Podałam mu rękę, weszliśmy do wody. Powoli, od płycizny.
Dopiero w świetle od rzeki zobaczyłam, że i słońce Ziuta już nie bierze.
Chwilę stał niepewny. Czułam, że się naprężył do nura, a bał się.
Objęłam go, niech sobie poleży na wodzie. Umościł się w rzece, biały i pomarszczony jak dryfujący kondom.

Roch nas podglądał…

Roch nas podglądał.
Zaczaił się na skarpie, przed domem, blisko bramy. Zamaskował za drzewami.
Nie rusza się bez broni. Łazi goły, ale z gnatem. Pistolet zawsze trzyma przy sobie. Sprawił sobie opaskę na tors, z kaburą na biodrze.
Już się z tego z Ziutem nie śmiejemy.
Roch zmarniał nam w kutasinie, ale to ciągle sokół. Przybił do stodoły tarczę strzelniczą. Ćwiczy oko. Rzuca lotkami, trafia w środek tarczy, bez pudła.
Szybko Rocha wypatrzyłam. Nie dałam poznać.
Ja jestem z ptaszyc szponiastych, mam dobre oko.
Roch o tym wie, ale próbuje mnie podejść. Padalec. Ciągnie go do flachy i do mnie.
Patrzył, jak wyprowadzam Ziuta na brzeg. Wolno, za rękę. Pomagam mu usiąść. Chwilę przy nim kucam, głaszczę po włosach. To, co dla Ziuta, to i dla Rocha oczu.
Wróciłam pływać.
Co by się nie działo, jaka by nie była pogoda, trening musi być. Pływam stylem wolnym. Mam wymyśloną trójkombinację: delfin, strzała, kraul.
Jestem swoją trenerką. Nikogo mi więcej nie trzeba. Byłam juniorką, miałam czterech trenerów. Wystarczy. Nikt mnie nie będzie tresował.
Pływam dla siebie. Z nikim się nie ścigam.
Dla rzeki rzuciłam miasto.
Wysiadłam z pociągu, od razu ją poczułam. Prosto ze stacji do koryta. Rozebrałam się i w wodę.
Nie ma dnia, żebym nie zeszła nad rzekę. Więcej w tej wodzie jestem niż w domu.
W lato wypuszczam się na całe noce. Pływam, leżę na brzegu, śpię.

W mocne zimy siekierą w lód i przerębel gotowy – nogi zanurzyć, zrobić nożyce, kilka minut, jedna seria. Wiosną pływam z kawałami kry, gładko nie jest, to nie są delfiny.
Kiedyś Roch wstawał pierwszy, schodził nad wodę rozstawiać wędki. Łowił na muchę, na robaki. Miał szczęście w pokerze i nad wodą, karta i ryba mu szły.
Czasem lazł za mną nad rzekę po południu. Siedział na brzegu z flaszką, wystawiał baterię solarną, fiuta do słońca, patrzył, jak pływam.
Nie wiem, kiedy przestał na mnie baczyć.
Teraz nad rzekę nie schodzi, nie łowi. Pewnie już nie trafia glizdą w haczyk. Ryby dawno nie jedliśmy. Kiedyś, wieki temu, w ogrodzie postawił kompostownik, jeden i drugi, robaki pobierał.
Już nie zaglądam w te pryzmy. I bez tego wiem, tam najbardziej u nas życie się wije.
Ziut kupił Rochowi na zachętę gumowe robaki, walają się wszędzie. Jak czegoś szukam, zawsze znajduję fałszywą ochotkę.
Od lat Roch trzyma się blisko domu. Prowadza się z flaszką i z psami, to jego stado.
Jak go poznałam, fruwał po polach, młody gawron. Dużo kasy natrzepał – prawie tyle co notariusz. Tacy są właśnie geodeci.
Przyjechałam na wieś, już tu był.
Pan geodeta, a z wyglądu studencik. Chłopak chuchro. Jasno mu z oczu patrzyło, że niby naiwniaczek, ufny i głupi szczeniak.
Wszyscy Rocha lubili. Co dali, zjadł. Co opowiedzieli, wysłuchał. Pośmiał się w gromadzie przed sklepem. Na zabawę się zagnał, wypił i pannę zaruchał.
Te wsie to była dla Rocha ziemia obiecana, większa Ameryka.
Teraz już nie ma co mierzyć. Pola i miedzy dawno nie widział. Ale swoje odłożył.
Zdarzyła mu się wielka miłość. Roch kocha pigwy i ma tu wzajemność. Bimber go huśta, a on to lubi.
Co by nie było, do wsi nie chodzi, do miasta nie jeździ. Zawsze zostaje na gospodarce. Pewnie gdzieś tu zakopał pieniądze i stróżuje, lepszy w tym niż owczarek.
Robi obchód w nocy od okna do okna i wystaje.

Pistolet to miękka atrapa, z daleka nie widać. Każdego zbója odstraszy.
Ziut mu przypomina, żeby nie krzyczał: Stój, bo strzelam!
Głos masz piskliwy jak panienka.
Roch nie odpowiada.
Od pierwszego wejrzenia taki sobie, uroda z ławki rezerwowych. Gdyby był jedynym mężczyzną na ziemi, pomimo starań zostałabym nietknięta.
Nie wiadomo kiedy, od rozmowy do rozmowy, zobaczyłam, nogi niby krótkie, ale jak wszystko inne, nabite jak rewolwer.
I uczynny, zgodny, co powiem, to się śmiał. Co każę, zrobił. Rano dwadzieścia skłonów, dziesięć pompek i biegiem do lasu. Tak było.
Z większej wady – do rzeki nie wchodził. Pływać nie pływał. Łgał, że umie. Żabką, kraulem i strzałką. Kłamał jak najęty.
Ciągnęłam go do koryta. Po dobroci, na siłę. Zapierał się, uparty do wrzasku.
Jak nie, to nie. Awantury ze sprawy nie robiłam. Machnęłam ręką. Każdy ma swoje strachy. Jego muł obrzydzał.
Gustujemy nawadniać się w ciszy, tylko czasem słowo o szkło brzęknie.
Temat bogactwa Rocha często powraca. Inne tematy tak się nam nie pokazują w refrenie jak jego skarby. Lubimy magistra geodetę rozdrażniać, inaczej by się nie rozruszał.
A co z twoją kasą?
Ziut szturcha Rocha pytaniem.
Pewnie gdzieś zakopałeś, a teraz nie wiesz gdzie, lepi słowa ze śmiechem. To jak, Roch? Powiesz? Puszkę rdza wzięła. Kasa namokła i po bogactwie, gada koślawo, długo.
Jakbym miał co kopać, to wiem gdzie, wiejski szczylu. Ja się znam na wodach gruntowych, strzela mu Roch.
Ziut się śmieje. Nie może przestać, rechocze jak ropuch, wywala ślipia. Wygląda, jakby wyzywał Rocha na zaloty.
Roch udaje golasa, a my z Ziutem udajemy, że nabieramy się na jego nędzę.
Zimą, kiedy było więcej czasu, a Roch często kimał w klubowym z butelkami, z psami, snuliśmy plany, jak go obskubać, żeby się nie poznał.

Nie dał się sknera podejść słodkimi gadkami, pieprzony. Raz chlapnął: jakbym się pierwszy zawinął, kupcie wykrywacz metalu.

Powiedz, Roch. Gdzie twoja twarda waluta, duka Ziut.

Niech się pan zajmie uszczelką na fiuta, bo przecieka.

No gadaj, gdzie kasa, my się tu z Lidą bardzo martwimy o twoją przyszłość. Szczegółów nie chcemy znać. Powiedz tylko, jak się czują twoje pieniądze?

Mają się całkiem nieźle.

Ja dziś śpię od ściany, powiadamia Ziut.

A śpij sobie, godzi się Roch.

I będę tak spał przez miesiąc.

Tydzień to wszystko, przycina go Roch.

Ziut się śmieje. Brakuje mu sił, pojękuje na wesoło.

Lubię ich podpatrywać. Wyglądają na starszych. Mają swoje lata i kilka cudzych. Chyba moich, bo ja wyglądam młodziej, niż sugeruje metryka.

Życie ze mną do gładkich nie należy. Mam złote serce i zły charakter. Odwrotnie gorzej.

Roch podniósł się. Szybko rozprostował nogi, zrobił kilka kroków i był przy butelkach.

Oglądał bimber w małym uśmiechu. Miał wszystko pod kontrolą. I wszystko, co mu trzeba.

Nagle odwrócił się i wybrał mnie okiem.

Mamy z Rochem do siebie podłe fantazje. To się w myślach odbywa, wystarczy, że na siebie patrzymy.

Urabiam się w ludzkim wrzasku…

Urabiam się w ludzkim wrzasku. Czuję zszargane nerwy.
Całe życie chodzę do szkoły. Uczę cudze dzieci. Kiedyś to lubiłam. Jestem nauczycielką z byłym powołaniem.
Zajmuję się krzewieniem kultury fizycznej. Przekazuję wiedzę na temat biegów, skoków, skłonów. Tego, co każdy umie sam z siebie. Pobierają u mnie naukę lepszej techniki. Pobór niechętny.
To nie jest szkoła mistrzostwa sportowego, żeby trafił się ktoś lepszy od łamagi. Do następnej klasy każdego przepuszczę. Notorycznie zawyżam oceny, mam w tym przyjemność. Właśnie to mogę zrobić dla ludzkości.
Świat nikogo tu nie obściskuje. Te dzieciaki mają spracowane, twarde łapy od roboty w polu, nie będę im jeszcze kazała skakać przez kozła.
W pokoju nauczycielskim czy poza szkołą odzywam się tylko tyle, ile trzeba. Chyba mnie nie lubią. Siedzę tu dla kasy, a nie dla towarzystwa. Z nikim się nie rozgaduję.
Jestem nauczycielką niższego szczebla, zawsze do tego dążyłam, inny poziom mnie nie interesuje.
Z kim bym się nie mijała na drodze, kiwam głową na dwa razy i po przywitaniu. Zaraz przyśpieszam. Umiem szybko przyśpieszać.
Czepiają się mnie z racji zawodu wykonywanego. Przedstawiają się z imienia i nazwiska dziecka. Jakby to w czym pomogło.
Z nauczycielką chce się większej znajomości. I ja to rozumiem, ale tego typu kontaktów nie praktykuję. Nigdy ich nie ćwiczyłam. Nie znajduję w nich żadnej przyjemności.
Dobre strony są takie, że już się rozniosło, wszyscy to wiedzą i jak się kłaniają, to tylko trochę.
Ksiądz mi się nie kłania, on jeden, co sobie w księdzu cenię.
Kiedyś, dawno, mijał mnie na żwirówce pod lasem, zwolnił, żebym dobrze usłyszała, co mówi:
— Niedowiarki to przy was wszystkie święte.
Zajęłam się rechotem.

Ksiądz przyśpieszył, obejrzałam się, patrzyłam za nim.
Tu nikt nie biega. Tylko ja. I teraz ksiądz. Podwinął sutannę, puścił się galopem. Na złamanie karku, jak do ostatniego namaszczenia. To nie był długi dystans. Szybko przystanął, przygiął się, by złapać oddech.
Kondycji nie miał, ale miał wspomożenie wiernych. Cały czas zgarniał. Chrzest, bierzmowanie, ślub, komunia, pogrzeb.
To jest boska do wszelkiej posługi okolica. Ludzie rodzą się jak myszy, a mrą jak muchy.
I z przelotnego oglądu księdza widać, że to mężczyzna ładny, a pewno wart grzechu.
Uczyłam jego dzieci. Zrobione na ubóstwo, ciężkie, krowiaste do gimnastyki. Pański krzyż mają w domu. Przepuściłam do następnej klasy.
Widuję księdza nad rzeką. Ma swoje miejsce na brzegu. Do wody nie wchodzi. Szuka płaskich kamyków, puszcza kaczki.
Roch też go ze skarpy zdybał.
Widać, że rozkoszują księdza zabawy dziecięce, powiedział.
Wystawił krzesło koło studni. Nałożył pelerynkę z ręcznika – farbuję mu odrosty.
Roch za młodu był ciemnawy, linia włosów już mu się tak nie przesuwa i jest nadzieja, że umrze głębszym brunetem.
Co roku pod choinkę dostaje sześć tubek, przez cały rok się smaruje. Ta farba winna się nazywać: czerń kruka.
Co dwa miesiące Roch siada pod pelerynką, a minę ma jak kiedyś pod moim cycem.
Potem idziemy do oranżerii.
Żadna tu palma ani nie rośnie, ani nie odbija, ale pokój jak szklarnia. Jasny, w dwóch ścianach z oknami na rzekę. Ziut go klubowym nazywa. Roch – mordownią do użytku wewnętrznego.
Oranżeria, klubowy, mordownia – tu się dobrze pije. Degustuje, aż pigwa-bimber zwali z nóg na kolana.
Można pić w każdym kącie domu, w chlewie, oborze, stodole, w ogrodzie, kurniku, na strychu, pod płotem, pod studnią, przed każdym lustrem. Jak by się człowiek nie ustawił, ile by nie wypił, to nigdy nie jest to.
Tylko w oranżerii jest klimat do głębszej rekreacji.

Pod ścianą stół kreślarski Rocha, na nim nasza produkcja. Butle z bimbrem. Cały blat zastawiony, a to zaledwie podręczna wystawka.
Mamy dużo flaszek. Kopiec na ziemniaki trzeszczy od szkła. Nic tylko się raczyć.
Fotele czekają, rozłożyste jak muszle, z flakami gąbki od dołu.
Mamy sporo mebli po harakiri. Pamiątka po pierwszych latach pożycia, były tu skoczne harce z nożami. Krew nie woda. A nasza krew to nie przelewki.
Co fotel, to ze swoim stolikiem, taboretem, żeby było wygodnie pod szkło.
Roch upodobał sobie zydel osmolony od małego pożaru. Miejsce skopcenia maskuje ludową serwetką, śliską szantrapą pod szampankę.
Roch doi bimber z szampanki: piękna, rżnięta i przebiegła. Kryształ rodowy, pomieści ponad pół litra, a nie wygląda.
W rogu stoi koza na czterech łapach z żeliwa. W mrozy dobrze grzeje. Ale kiedyś to my grzaliśmy się lepiej. Zimą na kozie pyrka czajnik, pajdy chleba na blasze skwierczą, węglą się.
Ziut lubi, jak ogień w kozie. Rozpala żeliwo i bez potrzeby.
Na fotelach skóry z barana, wielka to wygoda.
Roch ma najgorszy fotel ze sprężyną na sztorc. Podłożył sobie pod tyłek *Fenomenologię ducha*. Hegel to było jego dzieło do nabożeństwa, jak na wieś przyjechał.
Ziut nigdy nie miał smaku, drygu do wódki. Mało pije. Udaje. Wydyma usta, rozkłada nogi, że po wręby pijany.
Ziut to gracz. Widzimy to. A niech nas kołuje, bimbru w donicę nie wylewa. Ma pod fotelem małe wiaderko.
Ziut to pierwszy abstynent w linii męskiej. Jego ojciec się zapił. Tak głosi wieść gminna, Roch ją do mnie przyniósł.
W legendy, miejskie czy wiejskie, nie wierzę.
U Ziuta same siostry, toporne w minie i w łydach, taka rasa. Łączy mnie z nimi znajomość pobieżna. Co mnie w sklepie widzą, plują jak na czarnego kota.
Wszystkie słabe w charkaniu, kaprawe jak nasz kogut, bez rozmachu. Żadnej plwociny na sobie nie poczułam.

Ale mają dryg do rozrodu. Tak przedłużyły gatunek, że końca nie widać. Chaszcze genealogiczne. Nie wiadomo, która córka, która wnuczka. Nie zmarnowały ostatniej komórki jajowej, bo wnuk starszy od syna.
Ziut już o nich nie mówi. Kiedyś jeszcze tam chodził, po kryjomu. Psy go zdradzały. Wracał, niuchały w skowycie, jakby nosił nogawice rzeźnika.
Co by się tam w domu Ziuta nie działo, nie ma w sobie skrzywdzonego dziecka, nienawiści do wódki. Siorbie z nami dla towarzystwa. Wolałby w szambie siedzieć, ale już go nie wołają.
Ostatnio więcej dawkuje, boi się. Ma stracha, że wstanie i padnie. A przecież padł tylko raz, o suchym pysku. Długo nie wstawał, a potem długo się nie ruszał. Po karetkę trzeba było wykręcać.
Co mówią lekarze? To był udar.
Nie znam się na medycynie, znam Ziuta. Jak dla mnie, to on za dużo gadał.
Przez całe życie ust do gawędy nie otwierał, milczek, nagle poszedł na rekord. Była zima stulecia, nigdzie nie wychodził i uszczelki mu poszły.
Dzień i dwie noce opowiadał o sobie. Nie dało się tego słuchać, uciec nie było gdzie, wszędzie zaspy, śnieżyca.
Milczek nie miał treningu i sforsował organizm. Do tego doszedł wysiłek na zmyślanie. Żadne się Ziutowi większe zło nie wydarzyło, a nie chciał być gorszy od nas. Życie upłynęło mu bez większych zacięć. Musiał sobie nieszczęścia na szybko wymyślać.
Obrósł sadłem, co mi się podoba, ale to już nie jest mustang.
Roch jest najlepszym zawodnikiem do bimbru. To czempion. Zawsze w formie, zawsze pierwsze miejsce na podium.
I nie jest tak, że chla i się przewróci. Roch w żadnej sprawie nie jest banalistą. Jak myśli, tak pije. Płucze usta powoli, w należytym smutku i zwątpieniu. Tu na szybko i na wesoło chlać się nie da.
Niekiedy go mdli, zbiera mu się na torsje, a innym razem na mokre całusy.
Jak zły kocur, czyha na nas w sieni. Rzuca się, napada.
Dajemy się tarmosić jak myszy z watoliny. Czekamy na to. Niech sobie Roch poćwiczy na drapieżcę. Stępił się wszędzie. Wyhodował sobie szpony na małych palcach, co to da.

Widzę, Roch dopił swoją szampankę, zawsze w tym pierwszy.
Jeszcze chwilę siedzi nad kryształem, jakby złapał go większy namysł nad światem. Potem szybko się wydostaje, na sztywno wyciąga rękę w kierunku kozy, by złapać trochę światła od ognia, upewnić się, że wychłeptał wszystko.
Przymknął powiekę, sprawdza na jedno oko. Człowiek wielkiej miary, jak to geodeta.

Tu są porządne drzewa…

Tu są porządne drzewa do wieszania.
Las ma wszystko, co trzeba. Mocne gałęzie. Gęstwina. Stosowny mrok. Pień do pnia podobny, do szaleństwa.
Czasem ktoś zajrzy, samochód się zatrzyma. Ale nigdy nie była tu taka bajka, żeby przyjechać na pobyt.
A psa zostawić, tak, do tego ten las się nadaje. Co do lasu poszłam, to jakiś siedzi albo już całkiem wisi. Człowiek nie nadążał odwiązywać. A jak żyje, to trzeba odwiązać i do domu na michę. Nazbierało się tego.
Więcej razy butem czy szpadlem się zagrzebało. Na głęboko, na płytko, i lisy swoje uczty muszą mieć.
Teraz na stacji benzynowej porzucają. Co tankuję, to się rozglądam, a nie chcę, bo będę musiała kombinować, jak to przewieźć motorem do domu. Nie każdy pies da się w plecak spakować, choćby i łeb wystawał.
Dawno żadnego nie było.
Płaciłam za benzynę, nakupowałam słodkiego. Tego na kasie uczyłam, łamaga, ledwo szurnęłam kartą, sam z siebie powiedział: psów nie ma, bo łapią i jedzą.
Tylko ze trzy mam stąd wzięte. A było i tak, choćbym z kiełbasą kucnęła, nie podejdzie. Nie dziwię się. Czasem raz się poznasz na człowieku, a na całe życie nauki wystarczy.
Co się mogło, to się odwiązało. Nie da rady pacnąć w szczęście całego świata.
Ziut psów nie lubi. Jemu się podobają tylko te zwierzęta, co od nich mleko, mięso, jaja.
Z rok temu zrobiłam przejażdżkę, zawsze szybko las rozcinam. Moja maszyna to rakieta. Nagle coś mi mignęło, jakaś szmata w ściółce.
Zatrzymałam motor, wróciłam się. Patrzę. Jeszcze ze dwa kroki zrobiłam.
Świnię ktoś nam podrzucił.
No to odwiązałam świnię od drzewa jak psa.

Takiego zwierza w naszych lasach nie było. Knur do kolan, łaciaty w cielaka. Nóżki sztywne, niby od stołeczka w dębinie, kopytka pomalowane na czerwono. Podręczny i ładny, świniak do torebki. Widać, że miastowy.
Tu i z kotem na smyczy nikt się nie prowadza. I nikt normalny ze wsi trzody na zmarnowanie do lasu by nie wiózł.
Nigdy takiej rasy nie widziałam. Prosiakiem dawno nie był. Na skórze już się zżółwił.
W szelkach różowych z brokatem. Smycz do kompletu. Obok miska z suchym żarciem – garść bobków. Jakby się myszy w misce gromadą sfajdały.
Myślałam, że prosiak tylko do ziemi się nadaje. Pogłaskałam, ciepły.
Wzięłam ryj pod pachę, ostrożnie, a słaby, nawet nie fiknął. Na motor i do domu.
Nie kwiczał, luźny jak szmata, odwodnił się.
Myślałam, nie zdążę. Tak go przez skórę czułam – jak gotowy pod szpadel.
Zajechałam za bramę.
Ziut, Roch, psy wszystkie się zbiegły.
Ledwo dychał.
Gorący, już on z rusztu, ocenił Roch.
Zdjęłam bluzę od dresu, opatuliłam. W biało-czerwonym świniakowi do twarzy było, ale go telepało.
Zdycha, ocenił Ziut.
I jakby sam nabrał większej siły. Poszurał do kuchni, na szybko zrobił miksturę.
Chwycił prosiaka, usiadł jak do karmienia. Bez przymilania, a z kurtuazją rozwarł świński ryj i srebrną łyżeczką z rodu Rocha ciurnął knurkowi wodę z cukrem.
Nic nie dało. Nawet nie przełknął. Rozlało się po ręce i szmacie. Coś jakby w środku mu chrupnęło.
Krztusi się, mały jebaniec.
Dajesz za szybko, pouczyłam.
Spróbował jeszcze raz, powoli.
Nic z tego nie będzie, powiedział Roch.
Przyjrzeliśmy się. A trzeba było na psy huknąć, bo się wyrywały do wąchania.

Jeszcze postaliśmy nad becikiem.

Świniobicia nie było, a świnia nie żyje, powiedział Ziut.

Wtedy prosiak otworzył oczy, patrzył na Ziuta jak osesek.

Ożeż, wyrwało się Rochowi z podziwem.

Polazł do kuchni, wziął trochę kotleta i podsunął świni pod ryj.

Prosiak znieruchomiał, nagle cap, złapał palce Rocha jak pirania. Kotlet połknął. Po wieprzowinie było mu lepiej. Kanibal.

Położyliśmy go w betach na środku łóżka.

Ziut chciał go stróżować. Ale i ja, i Roch też siedzieliśmy przy knurze.

Szybko doszedł do siebie. Na drugą noc poleciał do sadu i wyżarł wszystkie zgniłki. Tam leżał całymi dniami, jak rozłożony nudą panicz, uświniony w melancholii.

Wystarczyło, rozpaliło się pod piecem, dym ryjem wyniuchał i świńskim truchtem leciał do domu, prosto do kuchni.

Nie umiał czekać. Szorował do jęku, to jeden bok, to drugi o nogi stołu, kwiczał. A potem żarł wszystko, co mu spadło, aż mu się uszy trzęsły. Gdyby Elvis był jak wielki knur – stół by skakał, jak traktor z zapuszczonym silnikiem.

Knur uwodziciel.

Elvis. To dobre imię dla naszego świniaka. Wywijał dupskiem, jak się klaskało.

Mam do Elvisa całe serce. Ziut, Roch nie inaczej. Może i świnia, ale nasza krew.

Od razu wszedł w stado, żadnych kłótni nie było. Psy nawet raz nosem Elvisa nie tryknęły.

W zimie zawsze sobie jakiegoś kudłatego wyszukał, uwalił się obok, zaraz chrapnął – niewinny jak owieczka. A pies zadowolony, że łebski ryj przygruchał.

Starość wyskrobała z ojca resztki elegancji…

Starość wyskrobała z ojca resztki elegancji.
Stał na brzegu rzeki z reklamówką. Utyrany podróżą i upałem, w ciężkim, szerokim, mało chodliwym palcie, wielbłąd na karku skapociały.
Szerokie nogawice uwalane w pyle od żwirówki przy starym kamieniołomie. Musiał źle skręcić, zamiast ścieżką za dworcem i górą poszedł prosto, rzeki się trzymał. Dołożył sobie drogi, dużo, ponad godzinę.
Wyszłam z rzeki.
Uśmiechnął się:

Dzieciaku, pływasz lepiej niż ryba.

Szedłeś rzeką, tato.

Przytaknął.

Zapomniałeś skrótu?

Chciałem się trochę rozejrzeć.

Trzeba było zadzwonić. Motor na chodzie, zgarnęłabym cię z dworca.

Machnął ręką:

Zrobiłem sobie wycieczkę. Jak za dawnych czasów. Są dni, czuję się silny jak kiedyś. Wlazłem w las, wypatrzyłem kij. Mecenas maszeruje. Mecenas włóczęga. Żadnych większych korzyści z tej wędrówki nie widzę. Tu jest taka okolica, że jak ją sądzić, to nigdzie nie znajdziesz okoliczności łagodzących.

Nie za pierwszym razem, ale kiedyś ci się tu podobało.

Kiedyś bardzo kłamałem, stwierdził.

Nawet na mnie nie spojrzał, wziął większy oddech. Skrzywił się zaraz. Na moment przesunął daszek czapki, miękkawy i śliski dla oka. Podrapał się po skroni.

Co za czapa. Tato, byłeś na Jamajce?

Śmiej się, śmiej. To angielski kaszkiet.

Akurat. Chodźmy do domu.

Zaczął się wydobywać z palta. Pomogłam, co mu się nie spodobało. Spocony i na twarzy, jakby przedzierał się do nas przez mżawkę.
Rozebrałam go do koszuli i majtek, wszystko nieświeże.
Wtedy zobaczyłam buty, nigdy w takich nie chodził.

Kaszkiet zostawiam, ubiegł mój ruch.

Jak chcesz, tato. Odpocznij. A może chcesz wejść do wody? Schłodzisz się. Będę cię trzymać.

Potrafię w wodzie ustać. Jestem tylko trochę starszy niż wczoraj. Butów nie zdejmę, uparł się.

Trudno by było. To chyba kowbojki na wypas bizonów.

Trochę się zgadza, przytaknął w dumie.

Co za buty?

Dobre.

Nie za ciepłe?

Nie zauważyłem. A nawet jak, to nigdy nie jest wada, że buty ciepłe. Wygodne, prawie do kolan. Nie robią odcisków.
Wzięłam na plecy torbę, ojca pod rękę, płaszcz, koszulę pod drugą.
Poszliśmy.
Tylko w majtkach, w kowbojkach chłodniej mu było. A droga do góry, nie wspinał się jak kiedyś. Czułam, jak słabnie.
Grał na czas. Przystanął, sapał. Udawał, wdycha świeże powietrze.

Zróbmy większą pauzę. Na rekreację, postanowił.
Odstaliśmy swoje.
Odpoczął, odezwał się w mocnym głosie:

Nie chciałem przyjeżdżać. Wiem, że jak się pojawiam, radości na twarzy nie ma.

Bez przesady.

Nie poprawiaj adwokata. Jestem wrażliwy na mowę ciała. Nieraz te niewerbalne sygnały zbudowały mocny fundament mowy końcowej. Jak mówię, nie chciałem przyjeżdżać, ale nie miałem wyboru. Ja jestem wychowany w delikatności ogłaszania spraw ostatecznych. Nie chciałem ci tego mówić przez telefon.

Co się stało? Przestraszył mnie.

Mama nie żyje.

A tak, od dawna.
Pokiwał głową:

To zawsze jest dla mnie świeże uczucie.

Nauczyłam się z tym żyć.

Wspaniale, wyrzekł ironicznie, na cicho, prawie niemo.

Chwilę patrzył przed siebie, tak jak się patrzy w przeszłość, z nieruchomą twarzą, tylko oczy mu chodziły.

Kto by pomyślał, mecenas Cienkonóżka nie żyje, a wszędzie było jej pełno. Jeszcze słyszę, jak mówi: sprzeciw. Cienkonóżka – nie lubiła, jak ją tak wołałem. A przecież nie mijałem się z prawdą.

Mama miała piękne imię: Maryla.

Czy ja dyskutuję ze stanem faktycznym? Maryla – piękne imię. I dla innych niech będzie Maryla. Dla mnie Cienkonóżka.

Wzięłam ojca za łokieć, poszliśmy.

Matka nie lubiła do mnie przyjeżdżać. Wolała lato w mieście. Kilka razy spędzała tu wakacje. Przywiozła książki. Leżała w sadzie i czytała. Nie chodziła nad rzekę, do lasu, wolała opisy przyrody.

Pasowałyśmy do siebie tylko wzrostem. Ona płaska jak deska, włosy cienkie, słabe, przylizane jak płodowe.

Czytała więcej, niż spała, a wyglądała, jakby miała ze dwa doktoraty. W mieście ten wygląd to tak nie raził.

Ojciec szedł wolno, przystawał i zamykał oczy. Nic nie mówił. A lubił życie gadane. Z życia gadanego żył.

Przy bramie obstąpiły nas psy…

Przy bramie obstąpiły nas psy.
Rzuciłam rzeczy ojca, ubranie, torbę pod płot. Najpierw podprowadziłam do studni. Nabrałam świeżej wody. Trzymałam garnuszek, patrzyłam, jak pije. Wolno, cierpliwie.

Tato, z ciebie to stare konisko.

Uśmiechnął się, lekko, tylko tyle, by zrobić mi przyjemność.
Wzmocnił się.
Wrócił pod płot. Włożył koszulę, powoli.

Pomóc ci?

Odpędził się od pytania jak od muchy.
Wziął bagaż. Poszliśmy do letniej kuchni.
Ojciec zatrzymał się w progu. Pochylił się, przebierał w miejscu nogami, jakby utknął na wycieraczce albo w komedii i nie mógł się wydostać.

Zygmunt, masz ładne kowbojki, roześmiał się Ziut. To skóra węża?

Najpewniej imitacja, nie piją.

Od razu widać, że buty nietutejsze. Amerykany, wycmokał Ziut, do podziwu.
Ojciec nagle się rozgadał:

Kupiłem w Nowym Jorku. Dobrze wiecie, nigdy nie byłem za bardzo za kompletowaniem modnej garderoby. Ale zobaczyłem na wystawie. Coś mnie podkusiło, wszedłem. I but mój.

Johnny ci kupił, przyznaj się.

O nie. Johnny wydaje dolary na żydowską narzeczoną. Ta kobieta wygląda jak róża Jerycha. Tak, wydaje na nią wszystkie dolary.

Johnny ma babę? Przecież on ma sto lat, zdziwił się Roch.

No nie, to ja jestem starszy. Johnny to mój młodszy braciszek.

Zawsze mówiłeś, Johnny to mój starszy braciszek.
Ojciec machnął ręką:

Tyle wam powiem. Żałuję, mogłem wziąć kilka par. Nie były drogie, a takich szpiców tu nie dostaniesz.

Roch i Ziut zadudnili śmiechem.

Nie dla urody kupiłem, a dla lepszego wędrowania.

Roch długo ojca oglądał.

Wyglądasz jak szeryf.

Nie myśl sobie, że jesteś pierwszym, który mi to mówi.

Znowu parsknęli.

Śmiejecie się jak gówniarze, obcięłam ich wzrokiem.

Pomilkli w rechocie.

Ojciec uspokoił ruchy, odczekał dla lepszego oddechu, zrobił kilka kroków, by lepiej podrzucać słowa.

Doskonale pamiętam drogę. Nie łgam. Tak właśnie jest. W głowie mam solidne mapy. Posnułem się po dawnych marszrutach, jako że dobrze jest rozprostować nogi po długiej podróży. Jednak przede wszystkim chciałem rozejrzeć się. Zawsze lubiłem ten kamieniołom.

A co tam oglądać, błagam cię, Zygmunt, skrzywił się Roch. Tam już nawet dzika trawa nie rośnie.

Ojciec pokiwał głową, niewyraźnie, z lekka, jakby nie do końca się zgadzał.

Już ty mi nie będziesz wędrówek planował, wymamrotał.

Rozejrzał się pośpiesznie, odłożył na ławę bagaż, małą torebkę mamy na rzemiennym pasku, starą reklamówkę.

A nie jest tak, że ta droga to prawdziwe nieszczęście, ocenił. Zmęczyłem się trochę, to prawda, i co z tego. Przecież trafiłem do was za pierwszym razem, pochwalił się w cichym głosie.

Zgubiłeś się, Zygmunt! Ty się zgubiłeś. Za dworcem w lewo i do góry. Przyznaj się, zapomniałeś drogi. A droga prosta jak drut. Koń sam by trafił.

Chciałem zobaczyć, co się zmieniło, upierał się ojciec.

A co tu się może zmieniać, roześmiał się Ziut. Jest rzeka, las. Niczego nam więcej nie trzeba.

No tak, bez przekonania zgodził się mecenas.

Ponownie uniósł czapkę, na dłużej, podrapać się w głowę. Siwizna całkiem go wzięła.

A to tu teraz sobie urzędujecie.

Rozejrzał się po naszej letniej kuchni – szopie poluzowanej od ostatniej wielkiej wichury, a i wcześniej całkiem cherlawej, jakby zbitej ze starych sztachet.

Tu chłodniej, rzucił Roch.

A prawda, prawda, zgodził się ojciec.

Za to las pięknie się rozrósł, widziałeś, tato?

Nagle nabrał siły, uznał stanowczo:

Las. Co tu za las. Byle jaka gęstwina, co się nie może skończyć. Ten wasz lasek jest za bardzo szemrany. Świerk, jodła – to jest las.

Tato, wiało nam tu strasznie na wiosnę. Drzewa pokosiło, ale za to mamy nową polanę.

Wysłuchał, w wielkiej pobłażliwości pokiwał głową:

Polana. Wyrwa jak każda inna.

Roześmialiśmy się, ojciec pozostał poważny.

Dobrze się czujesz, tato?

O co ty mnie pytasz? Warknął.

Nawet na mnie nie spojrzał, ruszył bliżej drzwi, stanął w większym świetle.

Człowiek odsłania się w szczerości i od razu wypytują, czy aby nie nabawił się czego innego. W mieście też upał, pokiwał głową. Ubrałem się niestosownie do pogody, ale doprawdy nie wiem, czy aby się u was nie zasiedzieć. Wrócić późną jesienią.

O rany, mruknęłam.

Od razu usiadł. Położył dłonie płasko na stole.

Roch spojrzał na mnie, wywalił oczy do góry.

Ojciec poprawił się na krześle. Rozejrzał się po nas, jakby chciał nas sprawdzić.

A, i matka nie żyje.

Nie tyle wyznał, co orzekł bez emocji.

Może jednak chodziło o jakąkolwiek matkę, całkiem cudzą, bez pokrewieństwa, a nawet i jego własną, zmarła lata temu i jako duch już całkiem zdziadziała.

Gdzie bym się nie udał. Pod jakie drzwi nie podlazł. Czy jest mecenas Cienkanóżka? Nie ma. Całe miasto złaziłem. Do jakiej pracy ją przyjęli, zaraz coś chciała naprawiać, to wzięli i wyrzucili. Mecenas Cienkanóżka, co to była za suka na ofiary. Nawet jak ktoś udawał, że mu dobrze, to się nie uciszyła. Wytropiła każde, nawet najmniejsze znamiona czynu.

Ojciec znieruchomiał, dziwnie wydął usta.

Zygmunt, wszystko w porządku? Dopytał Roch, rozbawiony.

Matka nie żyje, uczepił się wyznania.
Milczeliśmy.
Matka nie żyje, i co wy na to? Zachęcił do głębszej rozmowy. Chyba macie jakieś zdanie w tej sprawie.
Zawiesił głos, odczekał, by zrobić miejsce w dyskusji, nie skorzystaliśmy. Nagle spojrzał na mnie, dość nachalnie.
No co? Nie masz nic do powiedzenia? Matka umarła. To twoja matka, bo tych dwóch tylko krąży przy naszej rodzinie, obrzucił wzrokiem Rocha i Ziuta.
Roześmiali się chłopackim rechotem starych koni.
Będziecie tak stali, niemoty? Popędził nas. Świsnął tym zdaniem jak batem, aż się zmęczył.
Znowu chwilę odczekał. Zakasłał, by zmącić ciszę.
Matka nie żyje. Ile razy mam głosić tę przykrą – dla nas wszystkich, jak sądzę – nowinę.
Odezwałam się spokojnie:
Tato, a ile to razy byłeś już u nas w tej sprawie.
Doprawdy? Zainteresował się szczerze. A kiedy?
Pierwszy raz ze cztery lata temu, rzucił Roch.
Ojciec pokiwał głową.
No tak. Doprawdy, cztery lata. A wydaje się jak świeża śmierć. Wszystko jak wczoraj. Cztery lata. Co to jest cztery lata.
Odczekał dłuższą chwilę i zaordynował, nagle podekscytowany:
No cóż, to chyba wybiła już ta godzina. Mam swój gin o'clock.
Machnął na Rocha jak na kelnera.
Roch wyjął papierosa, podał sobie ogień, patrzył na ojca bez ciekawości.
Pijesz? Zdziwił się Ziut.
A co innego proponujecie w tej sprawie? Podniósł głos, oburzył się, opluł.
W jakiej sprawie?
A w sprawie zgonu, bardziej się podminował. W takiej sprawie, krzyknął, jakby posądzony o krętactwo.
Zwabione krzykiem psy jak straż zajrzały do kuchni, całym stadem, dysząc od upału.
Ojciec obejrzał się.

Po co komu tyle psów? Darmozjady, pieprzone tłuste koty, wymruczał.
Psy rozeszły się po kuchni, powalić się gdzie bądź.
Ojciec popatrzył po nas, na Ziuta zaledwie przelotem.

Chyba w tej trudnej życiowo sytuacji mogę liczyć na małą rodzinną gościnę.
Ile to było, pół godziny – stół nakryty. Jaja, kiełbasa, chrzan, pomidory, ogórki, trzy butelki.
Postawił je Roch, już ożywiony, by nie powiedzieć szczęśliwy. My z Ziutem znamy te jego ekstazy. Wygiął się teatralnie, zakrzyknął:

No, to panie, panowie, pozwólcie, że ja będę kapitanem tej pięknej i szacownej łajby. Wypijemy! Odpłyniemy!

Ja nie piję, wzbronił się ojciec.

Miałeś pić. A może troszeczkę. Za mamusię, za tatusia, za mecenas Cienkonóżkę.
Roch zniżył głos, paplał do ojca jak do dzieciny.

Zostałem sam, spać nie mogę. Mam proszki. Cudów nie działają, ale trochę pośpię. Kiedyś w sądzie więcej spałem niż teraz w łóżku.

Prochy od psychiatry? Zaciekawił się Roch.

Od Reny.

Rena skończyła medycynę? Chyba na uniwersytecie trzeciego wieku, zaocznie, zaśmiał się Roch.

Jakbyś miał taką siostrę, nie zaglądałbyś do kieliszka.

Zygmunt, ja mam inne widoki. Patrzę na Lidę, na Ziuta. Leżę w trawie, patrzę na pigwy. Są ze mną psy. Mam broń i Hegla pod tyłkiem. Niczego mi nie brak. Cała nasza trójka miała plan, żeby żyć bez planu, i ten plan w stu procentach wykonujemy.

A ja będę miał na gwiazdkę zestaw małego hydraulika, zaśmiał się Ziut.

Zygmunt, życzę ci dobrze. Ale dostałeś prochy od kobiety, która maluje martwe natury. To sam pomyśl.

Rena maluje też konie.

Z tego, co mówiłeś, lubi się włóczyć po antykwariatach w poszukiwaniu waszych pamiątek rodowych.

Nie drwij z Reny, moczymordo, zakazał ojciec.
Znowu się roześmiali.

Do nocy jeszcze trochę czasu, może pykniesz? Zachęcił Roch i podstawił się z butelką.

Nie będzie pił, wtrąciłam się.

Ojciec popatrzył na mnie.

Ja obrońcy nie potrzebuję. Twój ojciec jest mecenasem, powiedział i uniósł palec, jakby mi groził.

Roch podał ojcu szklankę, nalał bimber.

Że też ci się chce pędzić. Wódka teraz tania. A jak cię złapią, nie unikniesz kary.

Zygmunt, ty już mi nieraz czytałeś ustępy czy inne z ustawy o wyrobie alkoholu etylowego.

To tylko przypomnę, przerwał mu ojciec. Kara grzywny, ograniczenia wolności, napił się. Albo pozbawienia wolności, chyba do roku.

Ty mnie wybronisz.

Ja? Dlaczego ja mam cię bronić? Z faktu, że piję twój etylowy, nic nie wynika. Jestem stary, mam demencję i nie wiem, co piję.

Jesteś mecenasem.

Jestem na emeryturze i ze sprawiedliwością nie chcę mieć już do czynienia.

No i robisz w rozwodach, dodał Roch.

Nic nie rozumiecie. Wioskowe głupki, powiedział ojciec zawodowym tonem. Zapomnieliście, a ja zawsze miałem hojną rękę. To ja za tę sielankę płacę. Dałem wam kiedyś na dach.

My tego, Zygmunt, nigdy nie zapomnimy. Ale pamiętaj, swoje pieniądze też zawsze mieliśmy. Mogę uznać, że jestem wioskowym głupkiem, Hegla jeszcze nie wrzuciłem do pieca. A jeżeli chodzi o moczymordę, przyznam, lubię wypić. Bimber nic we mnie nie gasi, bardziej podlewa pewien rodzaj nonszalancji.

Skończ już, zarządziłam.

Roch pokiwał głową.

Zaczęliśmy jeść. Ojciec miał apetyt.

Roch tylko pił. Trzymał się szampanki jak pijany ściany. W milczeniu długo nie wytrwał.

Na całym świecie bimber. Gdzie nie pojedziesz, zawsze coś pędzą. Wiadoma sprawa. Nie każdy może być abstynentem. Nie każdy umie

cieszyć się życiem. A my mamy piękne pigwy, mamy naszą pigwę-bimber.
Zrobił pauzę. Wypił łyk. Usta oblizał. Wznowił znany wszystkim tu obecnym wywód, ale byliśmy głodni i laudacja dla bimbru nikomu nie przeszkadzała.

Po pierwsze.

Primo, poprawił ojciec i wypił.

Pigwa-bimber, jej wonność odurza. Kto niestety pijący wino albo małoletni, może usiąść w salonie i butelkę wąchać. Godziny mijają, a się nawet kropelkę nie znudzi. Zygmunt. Mamy tu przy domu ogród, różne rośliny, dalej na polach łąki kwietne, tylko bukiety rwać, jak ktoś nie ma co robić, ale i po co, zostawmy kwiaty tam, gdzie ich życie. Żaden bukiet nie odurzy lepszym zapachem niż nasza produkcja. Punkt drugi.

Secundo, podrzucił ojciec.

Nadstawił szklankę, Roch do niej doskoczył.

Smak. Pigwa-bimber może w niektórych nieobytych zapowiadać machinalne rustykalne żłopanie. Nic bardziej mylnego, gdyż smak kunsztowny, przelewający się przez podniebienie kurtuazyjnie, a jednak z pewną dozą awanturnictwa, wyraźną i niezbędną.

Zmęczył się, westchnął.

Usta dobrze umoczył i znowu swoje:

I nawet jak wypijesz jednego głębszego w trzech seriach po trzy, to pigwa-bimber nie złoi ci manta. Nawet się nie skulisz. Pijesz i trzymasz formę. Siedzisz z fasonem, elegancko w fotelu, po innych alkoholach już byś się rozkraczył na ochlapusa albo łaził na czworakach, stężał, błagał, płakał, jak każdy inny, co sobie wszechstronnie przeputał życie. Człowiek to bydle, nasz bimber tego nie zmieni, ale potrafi ładnie zamaskować. Po naszej pigwie żadna tam pijacka czkawka. Bardziej się tylko w samotność wpada. No co zrobić, z samotnością trudno się i na trzeźwo mocować. To i po bimbrze człowiek robi się sam dla siebie przyciężki. Ale nie ma wódy bez wad. Wóda jest zawsze z ludzką twarzą. A jak mnie ktoś podkabluje, na żaden sąd nie będę czekał. Wezmę motor, rozpędzę się i pierdolnę w drzewo.

Nie rób tego, Roch, powiedział spokojnie ojciec.

Zrobię, powiedział zawzięcie.

To mój motor, krzyknęłam.

Zrobię, na spokojnie wyznał.

Odchylił głowę, w grymasie pokazał zęby jak spętane wędzidłem konisko.

Ziut aż wstał od tego.

Po chwili przedstawienie się skończyło.

Smakuje ci, tato?

Nic mi już nie smakuje. Cienkonóżka umarła, zaczym straciłem wszystkie upodobania.

A mieliście się rozwodzić, przypomniał sobie Ziut.

To się tylko tak mówi. Ziut, *excusez-moi*, u was na wsi to się napierdalacie sztachetami, a my w mieście się rozwodzimy. U was krew, u nas papier.

Ziut, lepiej wstań i pokaż Zygmuntowi, jak łazisz, nakazał Roch.

Przecież widziałem, ojciec nie przestawał jeść.

Pokaż, pochodź trochę, a Zygmunt powie, czy lepiej.

Ziut wstał, przeszedł się po kuchni. Od stołu do drzwi.

Ładnie. Bardzo ładnie chodzi, pochwalił ojciec.

Jak ładnie? Oburzył się Roch. Przecież widać, że go udar kropnął.

No widać, zgodził się ojciec. Ale dużo lepiej chodzi niż ostatnio.

Gadanie, oburzył się Roch. Idzie jak do Lourdes.

Pościelę ci, tato.

Pokiwał głową.

I tak nie zasnę.

Przecież masz leki.

No i zasypiam o drugiej, a bez leków o czwartej.

To dwie godziny. Lepiej się napić niż faszerować prochami, ocenił Roch.

Dwie godziny mniej na rozmyślania.

O czym rozmyślasz, Zygmuś? Zaciekawił się Ziut.

O tym, że byłem dobrym człowiekiem.

Uśmiechnęłam się.

To znaczy były w moim życiu znamiona czynu, zamilkł na moment. To znaczy różnych czynów, jednak w ogólnym bilansie byłem dobrym człowiekiem.

Wiadomo, tato, rozwiodłeś bardzo dużo par.

To prawda, zgodził się. Mogłem być mecenasem od spraw wielkiej wagi. Od polityki. A utknąłem w rozwodach. Znam kolegów, którzy skończyli lepiej.

Ale ty się jeszcze, Zygmunt, nie kończysz, wmieszał się Ziut. Ty jeszcze nawet pierwszego udaru nie miałeś.

Słuchajcie! Roch podniósł głos.

I szybko się przyczesał, dłonią, z miną, jakby to zrobił nad podziw. Potem wystrunił się, uniósł ręce w radości, w głębi serca całkiem zełganej. Dobrze znam sztuczki tego maga.

Znowu poprawił włosy, gładko za uszy, i ruszył z przemową.

Tu jest taki klimat, tyle wypiłem i nawet urżnąć się nie mogę. A o niczym innym, panie, panowie, nie marzę, żeby mi się wreszcie film urwał.

Zamilkł, zadowolony. Radość szybko z niego wyciekła. Patrzyliśmy na Rocha jak na zachód słońca, czekając, aż roztrzaska się o krawędź lasu.

Wydawało się, że Roch się rozpłacze. Ale on tego już nie umie.

Roch, jutro pochodzisz sobie między pigwami i chęć do życia wróci, pocieszył ojciec.

Dziękuję mecenasowi za poradę, powiedział Roch, znowu na mnie patrzył.

Ojciec odsunął talerz.

Zygmunt, nie wiem, czy ty się na tej sprawie znasz, odezwał się Roch.

Na jakiej? Zapytał byle jak.

A na pigwach.

Na pigwach, powtórzył za Rochem Ziut.

To prawda, nie znam się na pigwach. A tym bardziej na chęci powrotu do życia, ojciec pokiwał na znak zgody z samym sobą.

Złapał mnie za ramię, ścisnął lekko.

Zaprowadziłam ojca do pokoju. Zawsze tu nocował.

Usiadł przy małym stole pod oknem.

Elvis już się pod łóżko wpakował. Co ojciec przyjedzie, ten chodzi za nim jak pies. Pewnie go dokarmia, taka to miłość.

Otworzyłam szafę, wyjęłam pościel, przygotowałam ojcu łóżko.

Położył się w butach. Zamknął oczy.

Matka nie żyje, powiedział spokojnie. Myślisz, że mam coś z pamięcią. Ja wszystko pamiętam. Pamiętam nawet to, że mam coś trochę z pamięcią. Przecież ja to zawsze wiem. Matka nie żyje. Tylko dopiero teraz mogę to powiedzieć. Daj mi Elvisa.
Podniosłam prosiaka, skoczył do łóżka.
Patrzyłam na nich. Ojciec szurał knura za uchem. Nagle spojrzał na mnie.

Jeszcze bym się motorem przejechał.

Nie masz już tej nogi do gazu.
Machnął ręką. Odsunął Elvisa, odwrócił się do ściany. Obraził się.

Zdjąć ci buty?

Nie! Wrzasnął.
Przestawiłam motor do stodoły, ojciec bał się tam wchodzić. Stoją tam trzy trumny zbite z drzew, co się przy domu powaliły. Pomysł Ziuta. To hydraulik, chodzi po ludziach, czasem coś dobrego podpatrzy. Miał większą robotę u stolarza, ten się rozgadał.
No i mamy swoje trumny. Można się kłaść, ale zdrowie nie odstępuje.

Kupiłam gospodarstwo…

Kupiłam gospodarstwo po umarłych.
Nie wiedziałam, że zostanę tu na całe życie, ale nigdy nie chciałam wyjechać.
Zapadła to sielanka. Dom w polu, rdzawe, wypalone kwadraty. Chlewy waliły gnojem, a dawno puste. Podwórko wielkie, klepisko bez urody. Z ogrodu tylko ziemia, twarda skorupa. Wszystko grodzone płotem, osmolonym, jakby ogień przez sztachety przelazł.
I dom smoluch. Podobno jest tam gdzieś cegła, możliwe, kto ją tam wie. Dużo okien, kilka da się otworzyć.
Pokoje, podmurówkę studni, płot od sadu, drzewa – pobieliłam.
Chciałam mieszkać sama, Rocha i Ziuta trzymałam na ławce rezerwowych. Żaden gospodarz nie był mi potrzebny.
Najpierw były ze mną psy, koty, kury. Przyjechałam dla rzeki, nie dla obrządku.
Roch mieszkał byle gdzie, w pokojach u obcych. Wprowadził się.
Potem Ziut zakwaterował się do nas. Jeździł na awarie, na budowy rowerem.
Przychodził, mył się pod studnią, kładł pieniądze na stół, wszystko oddawał. Serce też miał na dłoni, ja miękkich nie lubię, ale ma to swoje zalety.
Ile razy chciałam jednego czy drugiego przegonić, za innymi gnać. Nic z tego nie wyszło. Nawet się dobrze nie rozpędziłam. Tu nie ma się za kim obejrzeć. Nikt mi się nie podoba, nawet na raz. Seks to nie przelewki.
Roch i Ziut uklepali się we mnie, przestali uwierać. Żaden mnie nie zawiódł. Tylko nie są tymi co kiedyś.
Śpimy w jednym łóżku, łączą nas różne stosunki. Musieliśmy się rozćwiczyć. Trójkąt ostry czy polarny każdy zmajstrować potrafi.
Dobrze nam w tym składzie, gramy do jednej bramki.
Było za domem kilka drzew po umarłych. Jedno od drugiego daleko. To żaden sad. To taki sadek, mówił Ziut.

Jabłko zerwać, gruszkę, węgierkę, mirabelkę posmakować, zjeść, i tyle, ogryzek, pestkę za siebie. Elegancka degustacja. Nie było co zbierać. Nawet trzech skrzynek jabłek na zimę.
Co jesień myślało się – ściąć czy dać szansę. Bo i gałęzie marne, tylko na chrust.
Kazałam dosadzić pigwy. A tak dosadziłam, że był stary dom i marny sad, a teraz najpierw widać plantację pigw, a potem chałupę.
Rocha przydzieliłam do tej roboty. Ma zielone łapy, co zasadzi, wszystko rośnie.
Zawsze miał gotówkę. Dom mój, dokupił ziemi. Teraz pola dookoła nasze, a pigwowy sad jak dwanaście i więcej starych sadów.
I popłynął bimber.
Wielka w tym i jedyna zasługa moja. Roch by nadal pędził po małpki, a tak pędzi bimber. Zagnałam go do lekcji. Doczytał, douczył się, doszkolił, zrobił eksperymenty.
Roch pędzi ładnie. I on to wie. Rozpiera go duma i procenty we krwi. Wystaje pośród gąsiorów, dumny jak w winnicy. A ja mu pozwalam. Bez bimbru by się zmarnował.
Rodzonej córki tak nigdy nie wychwalał jak swoją pigwę-bimber.
Nie było tygodnia, żeby nie robił występów na stojaka.
Siedzimy w fotelach, ja i Ziut, marna z nas publika. My te kazania dobrze znamy, słuchać się tego nie da. A jak Roch chce, niech prawi. On lubi o bimbrze sam do siebie gadać.

Panie, panowie, zaczyna z niekrótkim uśmiechem. Chodźcie do piwnicy. Te flachy, gąsiory, rurki. Ale nigdy nie chce wam się ruszyć tyłka z fotela. Wolicie patrzeć na piękne rzędy butelek. Każda po szyjkę opita. To ja je ustawiłem. A co w środku, to dopiero bajka. Destylacja całkowicie domowa, jednak trudno ją nazwać produkcją amatorską. To działanie artystyczne. Bimber najwyższej próby, znamienity. Nie do podrobienia. Nawet marnego falsyfikatu nikt i nigdzie nie wydestyluje. Taka pigwa-bimber tylko u Lidy.
Zachwala.
Roch to marny aktorzyna, nie ma dobrej gadki, ale może zachwalać przez kwadranse. I trzeba mu przyznać, to nie jest gadka-szmatka. Wszystko święta prawda.

Trudno się z Rochem nie zgodzić. Ten sad, te pigwy, te flachy – czyste złoto. Nie było sezonu na gorszy rocznik. Nigdy pod płot się nie wylało. Co się wyprodukowało, to się wypiło. Innej drogi nie ma.
Ma się rozumieć, to bimber wyłącznie do własnego użytku.
Roch ma miękkie serce, a na wsi słabego od razu zwietrzą. I Roch ma rząd wiernych wyznawców. Same pijaki, co muszą się dwa razy dziennie urżnąć, bo suszy na ubój. Baby tu lezą przez las, przez pole – młode, stare, wszystkie, co jeszcze we wstydzie, żeby kursować do sklepu kilka razy dziennie po małpkę.
Z Rocha zrobił się handlarz bimbrem, a taki nam na wiochę przyjechał młody geodeta.
U pana geodety zawsze otwarte. Nie trzeba mu dalmierza, tyczki geodezyjnej, wszystkiego, co tam zamknął w małym pokoju. Roch ma radar w sercu, zawsze namierzy, że ktoś za potrzebą przybywa. Przed dom wyjdzie, flaszkę sprzeda, da na zeszyt czy choć trochę do kielicha naleje. Poratuje.
Czasem przez okno złapię, za długo przy płocie z pijakami wystaje, rozgada się. Ja tego nie lubię.
Wołam go i mówię:
Masz język dłuższy niż fiut.
Zawsze się z tej przycinki śmieje, a nie ma dnia, żeby się na smutno nie podbimbrzył. Co wieczór się nawadnia. I gada. Gada, by gadać. A my z Ziutem musimy robić za publikę.
Roch wie o naszych mękach, bo co jakiś czas obwieszcza:
Panie, panowie, doskonale widzę, już wam się nudzi, mrowi was wszędzie i na ostatnich tyłkach siedzicie. Panie, panowie, zaraz kończę wykład.
Co się Roch tu nagadał. Nawet jak teraz wreszcie cisza, to ma w sobie pogłos jego głosu.
Ziut wygląda, jakby przysnął nad kieliszkiem. Nie wiem, czy jeszcze tam sobie o czymś nie marzy. Wolę nie pytać. To taki kochanek, co sobie nie kłamiemy.
Najpierw był urodziwy, zaraz potem poczciwy. Trudno o lepszą kombinację, ale po tylu latach wszystkie te przymioty zwietrzały, zalatują nudą.

Kiedyś Ziut był głośny zawodnik. Seta na raz w gardło, żadnego tam smakowania.
W dupie miał kubki smakowe. A po każdej dolewce na struny głosowe zrywał się, wydzierał, krzyczał jak wielki goryl. Jakby mu się wóda w organizmie ogniem zajęła. Całkiem możliwe. Ziut to gorący towar. Poczynając od fiuta, a kończąc na sercu.
Miło było patrzeć na poczciwe chłopisko.
Nadal jest King Kongiem, jak mu się co złe śni czy jak na niego wchodzę.
W codziennym obyciu Ziut to domownik łagodny. Ma wszystko wypisane na twarzy i ciągle jest tam dużo miejsca. Wadzi się ze sobą tylko w myślach. Co by się złego nie działo, nic mu nie przecieka. Trzyma spokój. Jak jakaś większa sprawa, mamrocze: szambo zawsze wylewa.
Czasem zobaczę podkulony ogon w oczach, bez skomlenia.
Uczułam, że Roch na mnie patrzy.
Otworzyłam oczy, i to nie była prawda.
Skulił się na fotelu. Wyglądał, jakby przysnął, a czuwa, nie może spać. Zapada się w sobie. Łoi bimber z szampanki, ta rodzinna pamiątka to jego nośna ściana.
Zachciało mi się dzisiaj z Rochem całować, na mokro, gdzie tylko jęzor wejdzie. Aż wstałam od tego. Serce biło jak po biegu, uparte, zaciekłe.
Musiałam się uspokoić, wyrównać oddech, na trzy razy przełknąć ślinę.
Podeszłam do okna, wszędzie las. To nie jest, kurwa, las dla poetów. Nawet w większej rozpaczy czy po pijaku żadnego wiersza ku pokrzepieniu nie sklecisz.
Gdzie bym się nie obejrzała, w którym oknie noc by mnie nie zastała – drzewa, ściśnięte jak zaczepy starych grabi i łopat w szopie.

Zwariowałaś, chcesz tu mieszkać…

Zwariowałaś, chcesz tu mieszkać? Powiedział ojciec, ledwo łapał oddech.

Takie pofalowanie terenu powinno być karalne.

Rozejrzyj się. Przecież tu jest ładnie, tato.

Tu jest tak brzydko. Podałbym boga do sądu za taki świat.

Przecież w boga nie wierzysz.

Tym bardziej podam go do sądu.

Zrobił kilka kroków, nagle przystanął.

To ta chałupa? Chyba sobie żartujesz. Naprawdę mam to kupić? Opamiętaj się.

Zachwaliłam, że rzeka blisko.

Rzeka może i blisko. Wilgoć się czuje. Ale do rzeki trzeba zejść, a potem wrócić. Źle się schodzi, źle wchodzi. Zmachałem się.

Bo nie masz kondycji.

Gdyż pracuję umysłowo. Czas się z tym pogodzić, twój papa nie jest osiłkiem. Ja wiem, że tobie się parobki podobają.

O kim mówisz?

O każdym stąd, schylił głowę, kopnął kamyk. Chwilę myślał.

Rzeka. No, rzeka jest, jednakże to rzeka wiejska, bez plaży. Nawet łachy piachu dla małej rekreacji.

Jest pomost.

Kilka dech.

Mamie się podobało. Rozłożyła ręcznik i czytała.

Uśmiechnął się w dziwnym rozmarzeniu.

Mamie się podobało, bo ona nie ma gustu. Jej się też mój kolega podobał. Najbrzydszy z palestry.

Ja tu chcę mieszkać.

Ale ja ci daję pieniądze. To będzie twoja ojcowizna. A na ojcowiznę po mecenasie to ta obszczana gawra nie wygląda.

No, nie wiem.

Ale ja wiem. Chcę być dobrodziejem, a nie tatą-cwaniaczkiem. I to mój pieniądz. Wygląda, że wwalę go w ziemię. A okolica taka,

od razu widać – inwestycja chybiona. Sama strata.
Spięłam się.

Tato, ty się tylko dokładasz. Łaski bez. Pomieszkam jeszcze w szkole, może się coś tańszego trafi. Mam tu takiego i innego, ale chcę mieć swój dom.

Mówisz o tych kolegach z dworca?

Roch i Ziut. Zapamiętaj te imiona.

Niestety pamiętam. Wrył mi się w pamięć aż do bólu ten komitet powitalny. Do którego ci bliżej?

Do każdego.

Najlepiej żadnego nie wybieraj. Pewnie i tak się rozmyślisz. Wrócisz do cywilizacji. Pójdziesz ze mną na śledzika, czy tam branżowy opłatek, niejeden mecenas się znajdzie.

Ja nie wracam.

Teraz tak mówisz. A ten większy to skąd? Większy i tak samo brzydki jak mniejszy.

Ziut tu się urodził.

Od razu trzeba było ojcu mówić, że wsiuch.

Nie mów tak, to mój chłopak.

W ramach chłopomanii czy afektu? Jakby nie był parobkiem, dałby ci na dom. Nie musiałbym się na wieś tłuc, rudery oglądać.
Zdenerwował się:

Jak ci się ta zagroda podoba, weź pieniądze od ojca. Wolałbym, żebyś kupiła za swoje. Nie jest dobrze dziecko rozpieszczać. Zaczym też nie czuję, żebym się sprzeniewierzał swoim zasadom. Nie jestem nic winny, że mam lepszy zawód.
Popatrzyłam na niego. Pierwszy raz do mnie przyjechał. Wyszedł z pociągu. I to był inny człowiek. Zakupił specjalny strój. Cały na beżowo, marynarka safari, spodnie do kolan, trapery.

Tato, ubrałeś się jak w tropiki.

Czyż lato nie jest okazałe, powiedział, jakby wstąpił na scenę.
Popatrzył na Rocha, potem na Ziuta.

Przepraszam, panowie. Nie wiem, w jakiej roli tu jesteście. Jednakże chciałbym ten czas spędzić wyłącznie z moją córką.

Ma pan moje pełne zrozumienie, mecenasie, uśmiechnął się Roch.
Ziut był zdenerwowany, grdyka mu chodziła.
Poszli.

Ojciec patrzył za nimi:

Prowadzają się jak dwie panienki.

Nocowałam wtedy w sali gimnastycznej. Kilka materaców za łóżko. Wolałam to niż pokój przy rodzinie. Na żadne rodziny nie mogłam patrzeć ani ich słuchać przez ścianę.

Nikt tu nie chciał uczyć, dyrektor nic nie mówił. Niby przychodził popatrzeć na metodykę lekcji, a gapił się na moje cyce.

Już wtedy miałam kolekcję gwizdków trenerskich.

Pani Lido, pani mi zagwiżdże.

Gwizdałam. Aż przebierał nogami.

Kolejny z erekcją na gwizdek. Nie wszystko da się ukryć w luźnych bojówkach.

Chciał macać, raz podszedł pod samą krawędź biustu. To go tak odepchnęłam – jak sto elektrycznych pastuchów.

Na wsi, na drodze, pod sklepem to się patrzyli. Cmokali, gwizdali, to tak odgwizdałam, że im cała para z kutasów po nogawkach szła. Nawet z kulturą, z czekoladą się nie skradali. Mam uda jak imadła, boją się.

Czasem jak kończyłam lekcje, przystanęłam przed szkołą i zagwizdałam. Zaraz się okno z pokoju dyrektora otworzyło i łebek od szpilki się pokazał. Dyrektor brzydki, dzieciorób. Nie darował żadnej komórce jajowej. Albo chciał utrzymać populację w terenie, żeby szkoły nie zamknęli.

Pościeliłam ojcu przy drabinkach.

Poszedł pod natrysk, ledwo tam co leci. Tu się nie garną ani do sportu, ani do mycia.

Wrócił w wyprasowanej piżamie. Położył się.

Za płasko. Oka nie zmrużę.

To jedna noc, dasz radę.

Jedzie grzybem.

Od materaca.

Ten grzyb przejdzie na mnie. A niedawno brałem antybiotyk na zatoki.

Przeżyjesz.

Potem pół nocy opowiadał o swoich klientach.

Rano poszliśmy zobaczyć dom.

Szliśmy przez dwie wsie. Był rozochocony jak Malinowski wśród Papuasów, sam się w te słowa porównał.
Wreszcie doszliśmy.

To żaden dom, to gospodarstwo. Marne to wszystko. Na imieniny będę ci musiał dać na traktor.

A ty co dostałeś od dziadka?

W mordę, od razu odrzucił.

A od drugiego?
Spojrzał na mnie, jakby nie rozumiał pytania.

Tego, co go nie znałam.

Domyślam się, o kim mówisz.

Też po pysku?

Skądże. To był pan profesor. I dziwkarz. Jak twierdziła babcia. Która przecież też z nim nie miała ani sakramentu, ani żadnego papieru w sprawie matrymonium.

Miała lepsze papiery. Dyplom uniwersytetu na przykład.

Sprzeciwu nie wnoszę. To prawda. Była też skąpa, bardziej w uczuciach niż pieniądzach.

A dziadek nic ci nie dał?

Od dziadka dostałem monetę. Długo jej w ręku nie miałem. To była moneta na kibel. Mało dał, za to trzy czy cztery razy. Ojca raz widziałem. Mama mnie podprowadziła do kawiarni. Czekał na mnie. Wstał, jak podszedłem do stoliczka. „A, więc to jest ten Zygmuś". Przedstawił mnie i zaraz siebie: „A ja jestem tatuś". Potem nic nie mówił, tylko do kelnera. Powiedział: „Mój syn chciałby się napić oranżady, prawda?". Zaczym ogólnie tatuś był słaby w konwersacji. Z żadnym tematem się nie wychylił. Ale za to dobry w podkręcaniu wąsa. Pochwalmy tatusia. Spił mnie oranżadą. Cały czas chciało mi się siku. Miło z jego strony, bo za każdym razem uiszczał za toaletę. Długo umierał. A cierpienia nie dało się ukryć nawet przed rodzinnymi bękartami. No tak, tatuś umierał przewlekle i chronicznie. Jednego żałuję, że jak popuszczałem, od oranżady czy ze strachu, to nie wiedziałem, że jak to mówią moi koledzy i koleżanki: wyrok będzie sprawiedliwy.
Spojrzał na mnie.

Nie wiedziałaś o tym?

Skąd.

No cóż, po papie jestem niemrawy w konwersacji.

Ty też jesteś dziwkarzem?

Sprzeciw, uśmiechnął się.

Przyjmuję. Nikt nie jest sędzią w swojej sprawie. Ale gratuluję, tato, bardzo dobra mowa.

Przytaknął.

To tu chcesz mieszkać. Kompletna deklasacja. No ale zrób tacie przykrość i kup chałupę.

Na wakacje do córki przyjedziesz.

Z ojca sobie żartujesz. Tyle lat robię w rozwodach i pod gruszą mam siedzieć. Ja mam majątek. Stać mnie, żeby i córce dać, i jechać, gdzie chcę.

A gdzie chcesz pojechać?

Oddalam pytanie.

Spojrzał na mnie, zrobił większą pauzę. Umiał grać ciszą. A grał na poziomie olimpijskim.

Poprawił kapelusz, z luźnej słomy. Kupił go specjalnie na wieś, nosił na skos.

Wreszcie powiedział:

Niech będzie. Zgoda. Dam pieniądze. To nie jest dużo. Mam nadzieję, pewnego dnia zmądrzejesz i wrócisz do domu. Nawet tego nie sprzedawaj. Kupca nie szukaj. Po prostu wyjdź. Ojciec zawsze będzie czekał.

Cały dzień chodziłam przy ścianach…

Cały dzień chodziłam przy ścianach.
Wiszą tu wszędzie zdjęcia Jagody, na jagodach, na rowerze, przy stole, szczerbata w szpagacie. W rzece jak kluska na wodzie, do pływania nie miała serca.
Zdjęcia nowsze, te z miasta zapakowane w telefon. Na tapecie mam jedno – Jagoda robi sobie tatuaż i wywala jęzor. Trzy główki – taka dziara. Główki małe, ładne, bo to nasza trójka. Matka w środku, ojcowie po bokach.
Wieczorem przed treningiem poszłam do sadu.
Pigwy to może nie drzewa wielkiej urody, ale mają w sobie coś więcej. Taki sad jak u nas to najlepsza medycyna.
Nie wiem, kiedy się stąd wyprawiło do lekarza. Albo kiedy lekarz tu się pojawił, sam czy z ekipą. W szpitalu ostatni raz byłam na porodówce.
Jagoda stąd wyjechała. Trudno się dziwić, każdy stąd wyjeżdża. Oszukała, że na studia. W końcu się wydało, do żadnych egzaminów nie przystąpiła. Ma firmę, zatrudnia sześć osób. A jako dzieciak nie umiała zliczyć do trzech.
Taka jest właśnie moja Jagoda.
Raz przyjechała karetka, bo był udar, mały. Dwa tygodnie i wypis Ziuta na własne żądanie.
I by powiedzieć wszystko w sprawie medycyny: kilka miesięcy temu poszłam do lekarza. Za wizytę to się nie liczy. Pojechałam całkiem zdrowa, nie była to profilaktyka czy inna kontrolna.
A wszystko od tego. Dyrektor mnie wezwał. Poinformował, każdy z kadry już był na urlopie dla podratowania zdrowia, niektórzy nie raz, a ja jak zwykle będę ostatnia.
Odparowałam, dobrze się czuję.
A co to ma do rzeczy, pouczył. Urlop dla podratowania zdrowia i zdrowemu się przyda.
Powiedziałam, że się zastanowię.

Na przerwie poszłam do pokoju nauczycielskiego popatrzeć na grono. Wszystko zdrowe kobyły i konie. Pomyślałam, i mnie trochę większych wakacji się należy.
Wzięłam, co trzeba. Pojechałam do lekarza. Obejrzał mnie wiele razy na wszystkie strony. Zawiesił się nad ustami.

Pani ma dobre struny głosowe.

Bo ja śpiewam.

W kościelnym chórze?

A wyglądam?

Przepraszam, pożałował szybko.

W uszy mi zajrzał. W oczy. Wszystko jak na końskim targu. I trochę mnie strach kopnął, że całkiem zdrowa jestem i żaden urlop dla podratowania nic tu nie pomoże.
Wziął młotek, walnął w kolano.
Mam mocne kolana. Moja kultura sportowa jest rozległa.

Pani jest nauczycielką wychowania fizycznego?

Z tym wychowaniem to bym nie przesadzała, ale zgadł pan doktor.
Długo na mnie patrzył, to i ja na niego.

Coś nie tak, doktorze?

Kogoś mi pani przypomina.

To nie był młody doktor, więc mu podrzuciłam.

Dolly Parton. Piosenkarka.

Chwycił komórkę, sprawdził.

Podobieństwo jest. Mocne jest podobieństwo.

Zamyślił się, wreszcie zawyrokował:

Piersi stwarzają widoczne zagrożenie. Pewnie cierpi pani na przewlekłe bóle odcinka piersiowego?
Nic nie mówiłam.

A to powoduje migreny, bezsenność i inne sprawy. Będzie się musiała pani prześwietlić.

Mam już zdjęcia.

Wyjęłam.
Oglądał długo.

Tak myślałem, nie za dobrze to wygląda.

Klisze szybko za siebie schowałam.
Wypisał papiery.

Proszę odpocząć. Zalecam basen. Z deską pomachać nogami, czy tam w wodzie poskakać.

Pływam jak ryba. Nie ma dnia, żebym nie zeszła do rzeki.

Rozumiem, powiedział. A tak, jakby nie dał wiary.

Już wychodziłam, wymamrotał:

Proszę rozważyć akt pośmiertnej donacji ciała na potrzeby nauki. Moi koledzy z prosektorium byliby zachwyceni. Ma pani płuca do kolan.

Wyszłam.

To był rentgen Ziuta. Podebrałam mu badania. Całe życie leżał pod zlewem, trudno się po awariach prosto trzymać.

O niczym nie powiem, pewnie by się rozgadał. A nie jest to mężczyzna ciekawy do odsłuchu.

Raz w roku dają nam dostęp do kultury…

Raz w roku dają nam dostęp do kultury i dziedzictwa narodowego. To kultura objazdowa, poczciwa, z kijem w dupie, ale dostęp darmowy.
Przyjechał nam aktor do szkoły. Stary pieknіś, co się całkiem wszystkim dawno w pamięci zatarł.
Była to wizyta w ramach pakietu: „Spotkanie z ciekawym człowiekiem”. Trochę tych występów było, ale nawet nie pamiętam, kto przyjeżdżał. Wszystko lepsze niż lekcje. Tylko muszę przygotować salę gimnastyczną do występu, ja tu się rządzę.
Po mnie wkracza aktyw nauczycielski i trochę uczniów lizusów, przystroić do występu. Flagi, sztuczne kwiaty, głośniki, mikrofon.
Podobno dyrektor wziął pożyczkę na nagłośnienie i szkołę zadłużył.
Nic mnie to nie obchodzi. Plotki mnie nie interesują. Jestem od fikołków.
Ale czasami potrzebuję innego sportu, nowej adrenaliny. Jak aktora zobaczyłam, od razu weszłam w bloki startowe.
Najpierw pokazał się samochód – mały, do pasa, dwuosobowy, umyty i drogi. Jeszcze kierowcy nie było widać, ale widać było dochody.
Aktor zgasił silnik. Wyszedł, rozejrzał się na wszystkie strony, natchnienia szukał. Skrzywił się, posmutniał. Wziął kilka głębszych oddechów. Tu jest dużo lasów, wszędzie butla tlenowa.
Popatrzyłam na artystę, było widać sceniczne życie. Włosy na lakier do tyłu i do ramion. Siwy i cały na czarno. Wszystko w nim było filmem, czarno-białym, a jednak.
Ja nie z tych, co się w aktorach kochały. Żadnego na ścianie pod plastrem nie miałam. U mnie na podium sportowcy. Ale nie mogłam się na ciekawego człowieka napatrzeć. Delikatny. Było w nim dużo męskiej słodyczy.
Ta ziemia takich nie rodzi. A jak i nawet, to zadziobią. Prędzej się powiesi, niż z lasu wyjdzie.

A aktor jak aktor, żywcem wyjęty z magazynu ilustrowanego, tyle że dawno temu. Oczy wielkie, ale kleiste, starcze. Powodzenie miłosne z racji zawodu musi mieć, pewnie nie korzysta. Nie wygląda, jakby był w grze.
Jak tu się jakaś artystka czy artysta obwoźny miał pokazać, nie czekałam. I byłam w tym całkiem samotna. Grono wyglądało za kulturą – depilowało się, farbowało, odchudzało, szły w ruch diety, pudełka z kaszą, melisa, melatonina.
W czasie występów siedziałam w swojej kanciapie. Wszystko z gimnastycznej docierało. Nagłośnienie za mocne, nie da się tego słuchać.
Podobno aktor z dorobkiem, znany, ale pamiętać mogła go tylko starszyzna, co leży na cmentarzu.
W pokoju nauczycielskim, jak dyrektor pochwalił się wizytą z kulturą, wszyscy aktora w telefonach sprawdzali, kurwa, nawet się nie googla, był gniew. Nic się nie klika.
Matematyczka przyniosła lusterko po cioci z fotografią aktora na odwrotnej stronie. Pewności nikt nie miał. To mógł być on. Usta miał podmalowane na malinę, oczy mocno doprawione lazurem.
Trudno było poznać, lusterko małe, takie tylko do ust. W zestawie do szminki, albo tester ostatniego oddechu.
Aktor na żywo wyglądał lepiej niż za młodu. Wtedy chirurgia plastyczna robiła tylko w poparzonych.
Sala gimnastyczna pękała w szwach.
Z początku, przez kwadrans, aktor ładnie deklamował. Szybko z sił opadł, wyraźnie przyśpieszył, gubił słowa. Gdyby był w rzece, toby już nie pływał, a się ratował.
To nie była dyspozycja dnia. Przyjechał do nas i zwalił niską poprzeczkę.
Nie miał dobrej pamięci, myliły się wiersze, strony świata – recytował do drabinek, do sufitu, a dziękując dyrekcji za zaproszenie, mamrotał do swoich paznokci.
Dyrektor zerwał się, podsunął mikrofon, z nadzieją na dubel podzięki.
Nic takiego nie miało miejsca. Aktor milczał. Stał przed statywem z zaciśniętymi ustami, jakby mikrofon był podłym kutasem, którego nie chciał obsłużyć.

Potem się zamknęli z dyrektorem w gabinecie.
Miałam jeszcze dwie lekcje. Na pierwszej sprzątaliśmy po występie, na drugiej – układaliśmy materace, zrobiliśmy trochę nożyc, a dla ochotników rzut piłką. Tu nigdy nie ma ochotników, więc nic nie demonstruję. Sama nie wiem, kiedy ostatni raz pizgnęłam lekarską.
Ale więcej gwizdałam niż zwykle.
Gwizdki to moja miłość. Każdy w szkole to wie. Mogę rano w lustro nie wejść, a gwizdek założę.
Cała komoda świstawek, duże, małe, nabyte i prezenty. Kilka szuflad. Nigdy mi tego dość. To nie są furgałki, to narzędzia trenerskie, eleganckie, niektóre – wyjmowane ustniki.
Raz dostałam na zakończenie roku gwizdek elektroniczny. Od razu powiedziałam, co myślę w tej sprawie. Podarunku nie przyjęłam. Nie mogłam doczekać się końca wakacji, wiedziałam, postarają się. Dostałam gwizdek stalowy. Piękny okaz. Furga jak dzwon.
Koniec lekcji.
Jadę z roboty, patrzę, samochód w lesie stoi. Mogłam ominąć, a przyhamowałam. Nikogo. Pusty las.
Odstawiłam motor, a tu aktor idzie. Na luzie, z ulgą, z rozpiętym rozporkiem. Postanowiłam nic o suwaku nie wzmiankować. Poznałam podczas występu, że oto artysta wstydliwy.
Zobaczył mnie, zlustrował.
Dzień dobry, elegancko powiedział.
Mogę prosić o autograf?
Zażartowałam, a ten na żartach się nie zna.
Polazł do samochodu, wyjął swoje zdjęcie z młodych lat – podpisał.
Chce pani wspólne zdjęcie?
A pan chce selfie z łanią?
Skrępował się, wstyd schował pod śmiechem.
Wyjął komórkę, zrobiliśmy.
Jest pan zadowolony z występu?
Nie odpowiedział, oglądał mnie. Po minie poznałam, że cyc – tak, ale metryka to nie był dla niego towar wystawowy.
Młoda nie jest, powiedział do siebie.
Ile masz lat? Odrzuciłam asem serwisowym.
Skulił się. Ale serce do walki miał. Wstawił sobie z przodu uśmiech.
Usłyszałam:

My się znamy? Miał to pytanie przećwiczone.

Z widzenia.

Pracuje pani w szkole?

A jak myślisz?

Pokiwał głową, zadowolony.

Czyli, jak rozumiem, była pani na widowni.

A po co? Ciekawi mnie nie interesują. Ciągnie mnie do nudnych.

Chwilę utknął w pauzie. Musiał przełknąć.

A coś więcej? Rzucił bez ciekawości.

Wyrzekałam mu prosto w oczy, na krótko, kilka słów o sobie.

Gimnastyka sportowa to moja pierwsza miłość.

Jestem pod wielkim wrażeniem, powiedział w małej prędkości. Jakby deklamował.

Był to aktor zawodowy, mówił dużymi literami.

Chwilę się wahał. Potem podszedł do mnie. Szedł prosto i tak samo patrzył.

Nagle nastąpiła zmiana repertuaru. Drugie spojrzenie inne. Aktor skosił mnie wzrokiem. Nie padłam. Chciał mnie powalić. Przełożyć nogę jak nad kłodą. To był mężczyzna-huragan, tak o sobie myślał.

Potem nic się nie działo. Nie wiem, na co czekał.

Wybacz, powiedział zbyt głośno, jakbym siedziała w ostatnim rzędzie.

Wybacz, powtórzył po dłuższej pauzie.

Wybaczać to będziemy sobie już po wszystkim, zełgałam.

Zaśmiał się dziwnie, źle śmiech zagrał. Pewnie był obsadzany dramatycznie.

Powiedziałam, tu niedaleko urodził się sławny aktor.

Dupek, zasyczał. Wszystko grał na trzech minach.

Zaśmiałam się. Po twarzy poznałam – wolałby, żebym płakała.

Jest tu jakiś hotel? Zapytał.

Kazałam jechać za mną.

Zajechaliśmy nad rzekę. Na to nadbrzeże, gdzie jest trochę piachu. Plaża w kamykach, ale szeroka, jak wyro kochanków, wszędzie pety, kondomy, butelki. Można się poczuć jak w hotelu.

Odkasłał, powiedział:

Masz duże cycki. Jesteś piękna.

Ej, artysta. Liczyłam na lepszy komplement.

Zmieszał się.
Trochę pochodziłam, żeby go podrażnić. Jestem jak magnes, szczególnie na stare opiłki.
Patrzył i patrzył. Czułam się jak w niemym kinie.
Znowu zapytał:
Przepraszam, gdzie tu jest hotel?
Nie wiem.
Daleko?
A o co chodzi?
Przecież nie możesz mnie całować w terenie niezabudowanym.
Uśmiechnęłam się.
Chodzą za tobą paparazzi? Zapytałam szeptem.
Trochę trwało, nim gniew schował.
Wybacz, odezwał się. Mogę mieć z tobą pewne trudności. Ostatnio spałem tylko z aktorkami.
Chyba z pacynkami. Jeździsz też po przedszkolach?
Wtedy uciekł. Dopadł do samochodu, odjechał.
Usiadłam i patrzyłam. Gdzie nasyp wywalcowali na punkt widokowy, teraz szczalnia i ruchalnia. Zarośla się przerzedziły, odnoga zarosła, szuwary wyschły. I las gorszy niż po mojej stronie. Drzewa pochylone, w pozycji proszalnej. Zgarbaciały od wiatru czy wód podziemnych, tego nie wiem. Z góry na dół żelazna linka spina pnie.
Miała być plenerowa siłownia, postawili tylko pomnik Matki Boskiej i sławnego aktora, syna tej ziemi. Wyglądają jak rodzeństwo, po jednej matce i ojcu. Taki odlew.
Obok dwie ławki, w stylu dawnym rekreacyjnym, współcześnie bez siedzenia i oparcia. Jest klepisko dla dzieci, są huśtawki-gilotynki. Ale to nie jest tak wywrotowa okolica, na jaką wygląda.
Nagle słyszę, samochód jedzie. Odwracam się, aktor mi wraca.
Podniosłam się.
Wjechał dramatycznie, prawie do rzeki.
Wysiadł. Trzasnął drzwiami. Rozdrażniony, podszedł szybko, za blisko.
Przegiął się w biodrze, patrzy na mnie.
Wybacz, jeżeli z tobą coś pójdzie mi nie tak.
Nie jesteś w formie? Zapytałam.

Spojrzał na mnie mocniej. Trochę stał w ciszy, słowa składał.

Trzymałem w ramionach najpiękniejsze kobiety tego kraju. Było takie hasło: „Piękne dziewczyny na ekrany”. A z ekranu schodziły prosto do mojego łóżka.

Nie dziwię się. Masz oczy jak zraniona sarna. Ale ja z Bambi się nie rżnę.

Zabrałam się. Wsiadłam na motor, odpaliłam torpedę i tyle mnie artysta widział.

Kwadrans przez las, byłam w domu.

Roch i Ziut. To moje chłopy-Penelopy, zawsze na mnie czekają.

Podjechałam pod dom, a tu ojciec pod bramą stoi, uśmiecha się.

Myśmy ojca nie zapraszali…

Myśmy ojca nie zapraszali, sam na wieś przyjechał.
W nocy nie śpi, w dzień nie mówi, wodzi za nami. Trzyma chłodne spojrzenie, oczy szkliste jak zmrożona czysta.
Na wszystko się obraża, a nie wyjedzie. Dopiero jak posiedzi, wynudzi się, każe się odwieźć na dworzec, bez uprzedzenia.
Pomieszka trochę w mieście i znowu stoi u bramy. Nie dzwoni, nie zawoła, wyczekuje, aż kto go wypatrzy.
Co go gna?
Owdowiał, wziął większe prochy i wsiadł w samolot. Poleciał do Ameryki, do brata. Zaraz wrócił.
Ojciec to odyniec z miasta, ryje nam tu.
W zeszłym roku miał więcej siły. Chodził po nocy, trzaskał drzwiami, kasłał, wadził się sam z sobą. Właził do naszej sypialni, budził rechotem. Zapalał lampkę, podstawiał sobie stołek. Siadał przy naszym łóżku i patrzył rozochocony jak pornolem.
Nie dał się wyprowadzić. Potrafił się jeszcze całkiem dobrze boksować, za młodu to była w ciosach waga piórkowa.
Teraz nic nie mówi. Już się w życiu nagadał. To papuga. Obsługa: prawo rodzinne i opiekuńcze. Specjalizacja: rozwody i alimenty.

Moi klienci to katolicy, szczycił się. Przecinam to, co Bóg złączył, a człowiek nie ważył się rozłączyć. Rozwiodłem pół miasta, a drugie pół modliło się po nocach, bym to zrobił.
Teraz szybko się męczy. Nigdy nie miał kondycji. Poruszał się na krótkich dystansach; kancelaria – dom. Niemrawo, po wódzie na prostych nogach, w rękach zamaszyście, jakby siedział w kanu. Czasem samochodem do sądu i cały wieczór gadania, że nie ma gdzie zaparkować.
Ostatnio nie ma nogi do gazu. Wjechał komuś w kuper, poszorował latarnię. Sprzedał auto, złożył prawo jazdy. Stracha się jeździć po mieście. Na wsi inna sprawa. U nas droga wolna.
Kiedyś motor ojca nie wzruszał. Nie obejrzał, nie zachwycił się, ani razu na siodełko się nie przymierzył. Nagle zaczął o niego pytać.

Skłamałam:

Bełkoczesz, nie wiem, o co ci chodzi.

Zgodził się, ktoś w kancelarii powiedział, że głos mu rdzewieje, niewyraźny.

Ojciec nie schodzi nad rzekę, nie ma siły. Ale dosiada się do bimbru. Umazany miodem, wali piżmem i moczem.

Strój z dawnych lat, dżentelmena na safari, szmatławy, śliski, podgniły. Wygląda, jakby przez dni kilka ziemią przysypany. Zupełnie jak ojciec w gorszych dniach. A potem myk i bach, i ojciec odkopany.

Mam swój gin-o'clock.

Obwieszcza, kiwa na Rocha jak na lokajczyka.

Jeżeli chodzi o obsługę degustacji, Roch to służalcza dusza. Szambelan. Cmoker od bimbru.

Bon vivanty i szumowiny wszystkich krajów, łączcie się, wygłasza i pompuje mecenasowi w szkło.

Od samego patrzenia ojciec goreje, poci się, podwija rękawy, pluje w dłonie i je zaciera. Sposobi się do chlania jak do wyrębu lasu. A tylko nam bimber marnuje. Dusi kieliszek. Moczy usta, krzywi się, odstawia i znowu. Trochę liźnie, splunie, uleje mu się z kącika.

Czcimy wyjazd ojca…

Czcimy wyjazd ojca.
Stoi po domu szeroka orbita różnego szkła, by poddać bimber próbie smakowej. Jednak Ziut trzyma się tradycji – jest wóda, są kieliszki. Ma swoje trzy szkiełka, po mamusi, nie od kompletu.
Przed każdą kolejką musi je poprzestawiać – taka rozgrzewka. Żongluje nimi, szybko i chytrze, jakby w trzy karty oszukiwał na bazarze.
Dopiero jak skończy, wskazuje palcem na jeden kieliszek, Roch może mu nalać.
Wtedy Ziuta ogarnia letarg. Jakby dał sobie w tyłek szprycę. Ciężkawo, w pozorowanej niechęci podnosi szkło do ust, a łapa długa, żuraw na budowie.
Degustuje w powadze sknery, ostrożnie, by kropli nie ulać, jakby wykładał za wódę jak za zboże. A i zaraz dochodzi rozciąganie nogi, oporne. Przywodzenie ucha do barku, zwłoczne w posuwie. Łączenie kolana do kolana, skrupulatne. Jak bimber dotrze do ust, Ziut nie przyśpiesza, a najwyższy czas.
Ziut nie tyle pije, co moczy usta, krzywi się, ceregieli. Wygląda, jakby osuszał pypcia.

Masz tam opryszczkę?

Czasem dla draki podpytam.
Fuknie, a nie rozleje.
Lubię, jak się Ziut jeży.
Akurat na warach nic mu nie jest. Usta ma gładkie, w każdą stronę rozległe. W czynnościach miłosnych ta część ciała zawsze dodawała należnego rozmachu. I te usta nic, nawet kapkę się nie zestarzały. Szyja już od indora, a usta złotej rybki, welonka samczyka.
Roch nie lubi, jak się na Ziuta zapatrzę. Nosi go od tego. Zawsze się podrywa, staje na środku pokoju, kłania się z flaszką w pas, posługę ogłasza:

Panie i panowie, wasz usłużny sommelier.

I czas na następną rundę. Mamy kolejne okrążenie i mocne łby.

Z taką kondycją człowiek się nie rodzi. Trening, pozytywne nastawienie do bimbru, świeże powietrze – to wszystko robi swoje.
Pijemy w zgodzie, choć w różnych prędkościach.
Roch jest sprinterem. Sprawny. Miksuje szybkość z długim dystansem. Pierwszy zaczyna, ostatni kończy.
Ziut kantuje, zawiesza się, niby kompletnie zalany.
Nie umie pić, pije za wolno. Chla, jakby ćwiczył chińską gimnastykę w parku.
W kartach też oszukuje, wtedy na niego krzyczymy.
Ja się do popijawy dosiadam. Wolę pływać niż pić. Ale potrafię to ładnie połączyć.
Ani nie topię smutków w kielichu, ani się w rzece nie topię. Po wodzie i bimbrze lepsze życie.
Codziennie schodzę do rzeki. Co by się nie działo, jaka by nie była pogoda – trening musi być.
Roch chla z gracją. Czasem się rozgada, na koniec uwali w złych rymach:

Mam te swoje wywody. Puste jak niepełne wzwody, przyznaje.

Mówi za głośno, głos hula. Umie krzyczeć, jakby dzieliły nas hektary. To geodeta i gada jak geodeta. Ma oko do miary, to i dobrze bimber nalewa.
I wcześniej nigdzie nie spoczął jak człowiek. Zaraz się wierci, kręci. Nic mu pod tyłkiem nie pasuje – fotel, łóżko, motor, mój czy Ziuta brzuch.
Teraz nic nie mówi, gapi się w szampankę.

Szambo widziałem, odzywa się Ziut.

Słabo mówi, wyprowadza sierpowego. Cios marny, ale bez powodu i uprzedzenia. Trudno się uchylić. I Roch obrywa.
Na mnie ręki nie podniesie, boi się, moja kultura sportowa swoje waży.
Można siedzieć w trójkącie o suchym pysku i gładzić się romantycznie, to też znamy. Ale trudno nie urżnąć się ze szczęścia po wyjeździe gościa.
Długo czekaliśmy, aż się nasz gość wreszcie w drogę powrotną do domu wyprawi. Dziś wreszcie ojca na dworzec odwiozłam. Należy nam się po nim dużo wytchnienia i na to sporo bimbru schodzi.
Ojciec i świnię umęczy. Elvis śpi jak zabity.

Obudził mnie Ziut…

Obudził mnie Ziut. Krzykiem wyszarpał ze snu. A zmęczył się od tego, stał przy łóżku, przekrzywiony i ciężki.
Spojrzałam, wiedziałam, poderwał mnie w sprawie śmierci. Nie mogłam się ruszyć.
Przeżuwał, powoli składał słowa.
No, co znowu? Popędziłam go.
Przytrzymał się zagłówka z drewna, pochylił nad moją twarzą, nisko jak do sekretu:
Elvisa szlag trafił.
Musiałam to sprawdzić.
Wszystko się zgadzało.
Elvis leżał w pokoju małym i ciemnym, gości się tam ojciec.
Uwalił się pod łóżkiem, tylko zad wystawał. Noc była ciepła, szybko się skwasił.
Było już całkiem jasno, żadnej mgły od rzeki. Poszłam szukać Rocha.
Leżał w ogrodzie, dalej od domu, z psami, rozkraczony na materacu.
Podeszłam, miał otwarte oczy.
Śpisz?
Nie poruszył się. Patrzył na mnie.
Co jest?
Z Elvisem coś się stało.
Pojął od razu, ale z rozpędu dodałam:
Zdechł nam.
Mów za siebie, rzucił.
Roch nie lubił Elvisa, byli do siebie podobni. Tylko by żarli, leżeli w sadzie, wsadzali łeb między nogi i kazali się szurać po zadzie.
Roch podniósł się, wyminął mnie, polazł do domu.
Chwilę postałam, zebrać się w większej formie.
Wróciłam do pokoju ojca, Roch już tu był.
Pootwierał oba skrzydła okna. Siedział na krzesełku przy stoliku, niby w kawiarni – nóżka na nóżkę. Jak metronom kolanko od

wkurwu chodziło. Przyniósł sobie flachę i papierocha, raz gwint, raz filtr. Szybko mu szło.
Elvis miał swoje lata, ale na chorego nie wyglądał. Po świni słabo widać. A to jeszcze świnia do kolan. Trudno większą chorobę zobaczyć. Nie znaliśmy się na świniach, ani na dużych, ani na małych.
Psy go wąchały, piski, skomlenia, żaden nie capnął, nie szturchnął. Te psy u nas od szczeniaka nie były i pewnie śmierć trochę znają. Bały się, że i na nich ta kurwa wlezie.
Nigdy świni nie mieliśmy. Jest tu jeszcze chlew po dawnych gospodarzach, stoi pusty. Była stara, elegancka wędzarnia, w kiełbasy nie chcieliśmy się bawić. Ziut trzyma tam swoje narzędzia.
Takiego jak Elvis nigdy nie miałam.
Ziut stanął za mną, maże się za świnią.
Ja się do płaczu nie nadaję. Ostatni raz płakałam, jak miałam dwanaście lat i cycki mi urosły.
Elvis to był magik. I ojca umiał podejść, a ojciec nastroszony, tur miejski, odyniec.
Co przyjechał, Elvis doskakiwał, czochrał się o łydę mecenasa.
Raz go ojciec sprytem złapał za kuper i przystawił mu się z ustami do ryja.
Elvis odskoczył, a tylko na moment, potem spojrzał ojcu prosto w oczy. Mocowali się na ślepia. Żaden nie chciał ustąpić.
Elvis wytrzymał. Ojciec się zmęczył, puścił świnię. A od tej walki zatoczył się i opadł na kanapę.
Kiedy złapał oddech, włosy przygładził, by ładniej wygłosić:
Ten prosiak ma takie ślepia, jakby tylko on wiedział, co tu się święci.
Śmialiśmy się, a z ojcem nigdy do śmiechu nie było.
Już teraz wiedziałam, śmierć Elvisa przywlecze tu ciszę.

Dwa chłopy w domu…

Dwa chłopy w domu, świniaka nie ma komu pochować.
Chłopy starszawe, a trzeba mocno kopać, na czarny dół. Wilgotny i tłusty, niech Elvisa żadne zębiska nie wyżrą.
Był pomysł Elvisa chować między starymi jabłonkami, ale nasze psy są mocne, każde ścierwo wygrzebią. Trzeba na górki.
Roch pierwszy się odstawił.
Jestem gotowy do ciemnej parady, powiedział.
Stary cep, lubi się uteatralniać. Ubrał się w czarną koszulę.
Weź to zdejmij.
Posłuchał. Ledwo rozpiął, guzików tyle jak u księdza. Rzucił w kąt.
Więcej używa wody kolońskiej niż kranówki. Nie daje sobie podciąć włosów. Sporo schudł, w pasie pewnie o trzy dziurki. W luźnej koszuli mocno za dupę wygląda na pannicę od wiejskich wierszydeł.
Ile razy Ziut go namawiał, pojechać do miasta, koszul, portek nakupić, lepszych butów i szwendać się nad rzeką jak kuracjusz.
Nawet nie odpowiadał. Nic sobie nie kupił. My tu dobrze z Ziutem wiemy, że forsę ma. Działki kupował, działki sprzedawał, oszukiwał na ziemi. Nie podzieli się, skryty w sercu i portfelu.
Roch włożył nową koszulę. Pochodził trochę po kuchni, dla rozluźnienia.
Wyjął z szafki za szybą lepszy bimber.
Potrząsnął butelką. Podszedł do okna, sprawdził flaszkę pod światło, ile zostało.
Nalał do kubka, wypił, skrzywił się orkiestrowo. Czynność powtórzył.
Mały łyczek? Zachęcił mnie głową.
Nie chciałam.
Chcesz kopać o suchym pysku? Tylko się, dziewczyno, niepotrzebnie spłaczesz.
Pójdziemy na skróty, rzuciłam.
No dobrze. Jak tam sobie uważasz. W lesie mrok, ale większa duchota.

Schował butelkę, wyszedł z kuchni. Patrzyłam za nim, w tyłku spięty, żylasty.
Przystanął w sieni. Bez cierpliwości rozpiął kilka guzików od dołu, rozsunął koszulę jak kurtynę i wypiął brzuch przed lustrem. Obejrzał się, zagapił uparcie. Wyszedł szybko, niezadowolony. Trzasnął drzwiami. Tacy są właśnie geodeci.
Zaraz wróci, nie potrafi długo gniewać się na siebie.
Zrobiłam śniadanie, dużo jajek, chleba, chrzan i kiełbasa. To śmierć tak działa. Po matce stałam więcej w kuchni niż na cmentarzu. Dawno u mamy nie byłam. Nie lubię chodzić na groby. Do miasta daleko. Na wsi cały czas jest co robić.
Ziut zjadł ze mną. Spłakany, krzywo się zapiął. Kiedyś, jak miał co zaczesać, to był inny chłopak.

Ej, Lida, nagle popatrzył w stronę sypialni, jakbym tam właśnie była. Ej, Lida. Myślałem, nasz prosiak to jeszcze młody. A ten tylko tak wyglądał. Bo chyba chory nie był. Brykał od rana do nocy. Brykał, gdzie tam sobie chciał. Rozpieszczony knur. Rozpieszczony, zasyczał ze zmęczenia.
Wstał, wziął kilka wdechów. Przesiadł się na stołek przy piecu. Wysunął zdrową nogę. Oglądał łydkę z prawa, z lewa, jakby widział ją pierwszy raz.
Grzebanie obejdzie się bez większych ceregieli, mamy dobry szpadel. Niejednego psa, kota zakopał.
Nie chcieliśmy tego dla Elvisa, to był całkiem sympatyczny knurek.
Pojawił się Roch.
Skrzywiony żuł gumę. Skosił mnie wzrokiem. Ciągle ma nieliche spojrzenie. Mięsiste usta, co zawsze dodaje rozmachu. Tylko zęby teraz trochę za bardzo na wierzchu.
Ziut siedział przechylony. Myślałam, upadnie, a nagle podniósł się:

Idziemy, świsnął, jakby gonił konie. Przez chwilę podobny do siebie.

Ustawili się do wymarszu…

Ustawili się do wymarszu, a długa droga.
Ja raz-dwa las bym przeszła, potem przy rzece i na górki. Mam wielkie rozmiłowanie w kulturze fizycznej. Taka się urodziłam. Po kim, nie wiem. Ojciec, matka – dwie łamagi, jednego skłonu nie zrobili.
Poszłam do pokoju z szafą. Mamy tu pościel, ręczniki, na dole talerze. Szafa na troje drzwi i dwa lustra. Drzwi jak wrota od chlewa. Można wchodzić, wychodzić, mieszkać i spać, łóżko składane rozłożyć. Rzeczy nie za wiele.
Długo macałam, poszewki nam wyszły. Jedną znalazłam. Strzepnęłam. Takiej szukałam. To nie jest duży prosiak, ale zapas po bokach musi być.
Włożyłam Elvisa do powłoczki, zapięłam guziki.

Idziemy chować…

Idziemy chować.
Gorzka to parada. Ja na przodzie, ostrożnie, z Elvisem w powłoczce jak z oseskiem w beciku. Za mną Roch, z Rochem psy, a na końcu Ziut.
Cały czas się oglądam. Boję się, odpadnie mi w eliminacjach.
Udar kopnął go w głowę, od tego lezie powoli, bokiem, pokrzywiony. Lewa ręka oparta o biodro, do tańca. Prawa uniesiona, na końcu zaciśnięta, jak do noża w plecy.
Stęka, świszcze od rana:

Człowiek siły nie ma, a śmierci nie widać.

Postęka, poświszcze, pocharcha, do południa się rozchodzi.
Roch dużo sika. W nocy więcej lata, niż chrapie. Kiedyś to miał zamek. Dużo pił, dużo tryskał. Gdyby tu była stacja honorowego dawcy moczu, byłby bogaczem.
Ciągle się dostawia do drzewa. Zawsze lubiłam jego sikawę. Teraz ledwo dziurawa koneweczka. Strzyknąć to on już nie umie.
Ciura długo, fajkę można by wykurzyć. Skrapla się jak przelewowy do kawy.
Będzie dłuższy postój. Psy już to wiedzą. Ledwo Roch skobel w łapę weźmie, od razu się pokładają.
Roch trzyma się bardziej w stadzie z psami niż z nami. Kiedyś tak nie było.
No, wysoko się zrobiło. Tu jest stromo, że nie dla każdego.
Ziut dał radę. Na ławkę rezerwowych jeszcze się nie wybiera.
Były większe przestoje. Roch musiał Ziuta posadzić na ziemi.
Ja raz tylko ustałam, na krótko, dla lepszego oddechu.
Myślałam, to moja uczennica tam stoi, a to było jej drzewo. Po co aż tam zalazła? W śniegu, po zaspach. Pewnie myślała, prędzej ją śnieg powali, mróz skuje i nie trzeba będzie się wieszać.
Na pogrzebie nie byłam.
Uczniowie donieśli, ksiądz do niej się zwrócił: czy to ładnie tak się wieszać, jak na stole wigilia.

On się pyta tylko tych, co nie mogą odpowiedzieć, tych w trumnie. Taka jego przewaga.
Zawsze w gacie zaglądali. Takie są szkolne w kiblu zabawy. A teraz zrobią telefonem zdjęcie i cały świat to widzi. I co zrobisz? Nic, powiedział dyrektor w nauczycielskim.
I więcej tematu nie było. Tu i o żywych uczniach mało się mówi.
Roch podał Ziutowi rękę, dźwignął go.
Idziemy.
Drogę na grzebalną górkę znamy. Jak się ma tyle zwierząt, to się często ze szpadlem kursuje.
Doszliśmy.
Roch podparł się o szpadel. Zaczął przemowę:

Tu na górkach są nasze psy, koty, dwa jeże. Śladu po tym grzebaniu nie widać. Ziemia nie ma blizn.

Zrobił pauzę, byśmy przedmowę docenili.

Teraz Elvis. Zdechł, tak jak się pojawił, nagle. Nie wiem, co mu było. Pewnie był już stary.

Kop, przerwałam mu. Nie masz siły? Kop.

To ty tu od sportu jesteś, odpowiedział.

Plunęłam w garść, dłonie rozruszać.
Wyrwałam mu szpadel, a tak ziemię ubodłam, aż odskoczyła. Dopiero potem zmachałam się, spociłam. Za bardzo za Elvisem byłam, by go płytko zagrzebać.
Jak Ziuta brałam, Rocha brałam, to były młode chłopy, a już w korozji. Rdza mała, a szybko szła. Teraz do kopania się nie nadają.
Roch z Ziutem ładnie Elvisa ułożyli.
Patrzyliśmy na niego. Upał, szybko życie uszło.
Na koniec podawaliśmy sobie łopatę. Ja do Ziuta, Ziut do Rocha, każdy mógł ładnie przyklepać, oklepać.

Grób piękny. Mucha nie siada, ocenił Ziut z uśmiechem.

Roch przytaknął, jeszcze dodał:

Jak zdechnę, to Lida, słonko, bierz się za łopatę i głęboki dół mi wykop. Ty wiesz, ja kocham ziemię. Z serca i z wykształcenia. Nie ma dnia, żebym w garść nie wziął. To jeszcze mnie cieszy. Bimber i ziemia, rozgadał się. Jak mnie płytko zasypią, ksiądz mnie butem wygrzebie, dostanę wciry za bezbożnika.

Dopóki ja żyję, ksiądz ci się do dupy nie dobierze. I nikomu.
Nagle przypomniały mi się rozmowy w moim domu. Nawet psa mi nie kupili, inne dysputy, inne słowa przy stole.
Trochę posiedzieliśmy w krzywym kręgu nad świeżą ziemią. Ja, Ziut i Roch. Nie mamy już sobie nic do powiedzenia, co nas bardzo zbliża.
Zeszliśmy z górek, wolno, widok dech zapierał.
Zapomnieliśmy, tu wszystko ma swoją urodę, rzeka, las, droga szutrowa i ta mniejsza na starą żwirownię. Może to nie jest ładna uroda, ale to ciągle uroda jak się patrzy.
Trzeba było naszego Elvisa wrzucić do dołu, by to znowu zobaczyć.

Siedzę w kanciapie…

Siedzę w kanciapie przy gimnastycznej.
Zagląda delegacja, dwie uczennice i chłopak, pytać, co pani taka spłakana.
Nie zamierzałam udzielać odpowiedzi. To ja tu jestem od zadawania pytań.
Stoją i się patrzą.
Nic się nie stało, mówię.
Nawet się z progu nie ruszyli. Mogłam się zamknąć na klucz. Tu jest trudna młodzież.
Bardzo widać? Zapytałam.
Pokiwali głowami.
Elvis zdechł.
Znali go. Mam jego zdjęcie na szafce przy czajniku i szklance.
Był jeszcze młody, mógł żyć, powiedział chłopak. Lizus.
A nie wiem, czy Elvis był młody czy stary. Bardziej chyba stary.
Myślałem, że młody.
Widziałeś go na żywo? Znasz się na świniach? Przycięłam na ostro.
Młody, bo do kolan, szybko wyjaśnił.
Do kolan, bo taka rasa, powiedziała dziewczyna. Łamaga. Czterech skłonów nie zrobi.
Jeszcze postali. Patrzyli na mnie jak w komórkę.
Zaraz był dzwonek.
Chciałam już wyjść z roboty. Ciągnęło mnie do rzeki. Rano nie pływałam. Poszliśmy zakopać Elvisa.
Zadzwoniłam do ojca.
Dojechałeś?
Mogłaś wczoraj zadzwonić w tej sprawie.
Jesteś już w domu?
A gdzie? Przecież nie w kancelarii.
Elvis zdechł.
Zmarł?

Przecież mówię.

Był zdrowy jak koń.

Nie wiem.

Po świni to mało widać. Świnia jak człowiek może mieć choroby ukryte. Ja się na świni nie znam. Nigdy świni nie miałem. To ty jesteś ze wsi.

Masz dziwny głos.

Jaki?

Dziwny.

Chyba powinnaś mnie przeprosić.

Za co?

Pokłóciliśmy się przed wyjazdem.

Nie pamiętam. Masz lepszą pamięć, tato?

Rozłączyłam się. Dobrze, że nie oddzwonił.

Wskoczyłam na motor i po robocie.

Weszłam do domu. Roch i Ziut siedzieli w pijackim pokoju, na wybrzuszonych fotelach. Dobrze rumiani po paru rundach.

Dosiadłam się.

Roch zerwał się, ładnie mnie obsłużył. Nic tylko pić.

Stanął przede mną, rękę wyciągnął, pięść otworzył. Zobaczyłam garść leków.

Co to?

Prochy po Zygmuncie.

Gdzie to było?

Wszędzie. Pod łóżkiem. Może mu spadły. Wszystko mu spadało. Podnosił widelec i żarł brudnym.

Co to za leki? Jest opakowanie?

Na sen. Elvis zeżarł ojca leki.

A tego nie wiemy.

Powiemy mu? Zadzwonisz?

Co to da.

Zachowamy tę wiadomość, jak asa w rękawie.

Nalej mi.

Jak chcesz.

Odwrócił się, poszedł po butelkę.

Ziut na mnie patrzył, wystraszony.

Jak ta rzeka…

Jak ta rzeka, żaden kochanek mnie nie pocieszył.
Pływałam pół nocy. Woda była spokojna. Czułam przez moment, że nie jestem sama. A tylko ja tu pływam.
Wyszłam na brzeg, usiadłam.
Zrobiło się chłodno, schodzę nad rzekę na golasa. Podniosłam się. Szłam wolno na górę, psy też się wlokły, młodych już tu nie mamy.
Ziut i Roch spali. Chwilę na nich patrzyłam. Brzydkie to teraz całkiem, wtulone w siebie jak koty.
Przykryłam ich.
Zjadłam kolację. Chwilę posiedziałam. Mocując się ze złą myślą.
Wzięłam telefon. Zadzwoniłam do ojca. Chciałam go obudzić.
W końcu odebrał.

Coś się stało?

Odczekałam, dyszał w słuchawkę, rzuciłam:

A dlaczego pytasz?

Spałem. Jęknął. Co się stało? Jest środek nocy.

Stęskniłam się, tato. Chciałam usłyszeć twój głos, podpuściłam go.

Poczekaj, wezmę coś do picia.

Poszedł do kuchni. Klepka zawsze tam klepie.
Nalał sobie.

Mamy dobrą wodę z kranu. Ty pewnie wolisz ze studni, powoli wracała mu cierpkość.

Tak, tato, dobrze mnie znasz. Gardzę kranówką.

Pił, gardło tak chodziło, że widziałam grdykę, podskakiwała.

No, co tam? Co się dzieje? Umarł Ziut czy Roch?

Oni zdrowi.

To po co wydzwaniasz po nocy. Wiesz, że nie mogę spać.

Znowu kran odkręcił, wypił.

O szóstej rano zawsze ją słyszę. Mama wtedy wstawała i szła na siku. Potem robiła nam kawy. Mecenas Cienkonóżka nie żyje, a szósta rano i klepkę słychać.

Drogi mecenasie, wierzy pan w duchy czy tylko w sprawiedliwość?

A co złego, córeczko? Dobrze śpisz?

Pytałam, co u ciebie?

Jak cię nachodzi troska o tatę, to zaraz dostaję po kieszeni. Co, znowu bezzwrotna pożyczka?

Chcesz mi dać na snopowiązałkę?

To nie jest śmieszne. Mieć jedną córkę, a córka nieudana.

Ciągle to powtarzasz, a mówisz, że nie masz sklerozy.

Ta twoja deklasacja jest gorsza od sklerozy. Jak jeszcze pracowałem, to mnie od tego tak serce nie bolało.

Zawiesił głos, sprzeciwu i pociechy nie było.

Tylko myślisz, jak wyciągnąć kasę od papy.

Myślę, że Elvis cierpiał na bezsenność i przedawkował twoje prochy.

Jakby jęknął. Rozłączył się. Dość szybko jak na starca.

Wróciłam do łóżka.

Ziut spał z otwartymi ustami. Roch zwinął się przy ścianie.

Nie mogłam zasnąć…

Nie mogłam zasnąć. Wszystko przez to, że Julowa stała przy bramie. Psy na nią nie szczekały, ale i nie merdały. Zbiły się w ciasne stado, tylko patrzyły.

Chcecie jaką pomoc?

Już byliśmy na górkach. Zakopane.

Widziałam, że kapota. Tak się zeźliłam jak diablica.

Splunęła.

Sami grzebiecie, nie dacie nikomu zarobić. Kapota.

Niech Julowa poczeka.

Wróciłam do domu. Poszłam do szafy. Ojciec coraz mniej między ręcznikami zostawia. Zapomina i to nie jest już dziany ojciec. Miał dużo oszczędności, otwierał lokaty. Wielbił odkładać, wielbił mieć gest.

Najpierw stracił pamięć, potem pieniądze. Tragedią jest sytuacja odwrotna – jesteś spłukany i cały czas o tym pamiętasz.

Ojciec nadal jest dochodowy. Z emerytury mecenasa da się żyć. Ale dużo wydaje. Pożycza od Jagody.

Przeliczyłam pieniądze dla Julowej.

Podeszłam do bramy, dałam jej.

Wzięła, chuchnęła na banknoty, schowała pod szal splątany z włosami.

A co zdechło? Zapytała bez ciekawości, w zadowoleniu po zarobku.

Nasz Elvis. Świniak.

Pokiwała głową.

Jak prosiak ładny, długo na wsi się nie uchowa. Taka kapota.

Odwiozę Julową do domu.

Ja na motorze nie jeżdżę.

A czemu?

Bo nie jestem wariatką. Taka kapota. Przynieś bimber, będzie kwita.

Poszłam do pokoju ze stołem kreślarskim.

Wzięłam flaszkę.
Roch mnie zaszedł, aż podskoczyłam.
Nie śpisz?
Kto to?
Julowa.
Kurwa. Czekaj, sam wybiorę.
Przemaszerował na golasa przez całe podwórko, psy i wzrok Julowej za nim.
Wlazł do kopca z ziemniakami.
Szybko wylazł. Miał tam z boku odłożone gorsze destylaty.
Podszedł do bramy.
Podał Julowej flaszkę między prętami.
Jak zdrowie? Zapytał.
Pierwszorzędnie. Ja mam dziewięćdziesiąt cztery lata, co najmniej. Lekko licząc.
Po moim bimbrze zdrowie nie odejdzie.
Wiadomo. Ja już pana geodety bimber nie raz piłam.
Pokiwała głową w pełnej zgodzie i podzięce.
Przepraszam, nie ubrałem się. To mój dom i moje zwyczaje.
Podobają mi się pana geodety zwyczaje.
Roch szybko schował uśmiech.
Julowa spojrzała w dół.
Panie geodeto, pan ma ładny wytrych.
Nie pani pierwsza mi to mówi, ale dziękuję, powiedział bez emocji.
A ja nie pierwszego kutasa widzę i wiem, co mówię. Ja kutasy jeszcze przed wojną widywałam. To były całkiem inne lufy. Po wojnie to szkoda gadać, splunęła. Od samego widoku odechciewało się człowiekowi ruchać. A pan ma starą broń, panie geodeto.
Odwróciła się i poszła.
Usiedliśmy z Rochem w klubowym.
Jeszcze mi nie nalał, już w smutek wpadłam. Czego mi tu brakuje, że mnie śmierć tego knura tak obeszła?
Odprawiamy popijawę, by się z tej śmierci choć trochę wydostać.

Jest motor…

Jest motor, jest inne życie.
Kobieta musi się czasem przejechać lekkim sprzętem.
Jeżdżę ścieżką, wąską, przez gęsty las, sama ją wyryłam. Rozjechałam las na wszystkie strony. Wszystkie ścieżki, co tam są, to ja zrobiłam.
Cichego lasu nie słyszałam, a znam ten las lepiej niż siebie.
Mogę chodzić z zamkniętymi oczami, a w pień nie wyrżnę. Ostatnio dużo drzew zrudziało, wyłysiało. I żadne oko na mnie nie patrzy, zwierząt i wnyków nie ma.
Na grzyby, na jagody, to nie moje rekreacje. Kiedyś, dawno temu, jeszcze motoru nie miałam, przymierzałam się do chodzenia z koszykiem, ale do takich odskoczni nie mam warunków fizycznych. Za wolne tempo.
Kupiłam Ziutowi rzezak na zachętę, śliczny. Krótki, ostry, w rączce ładnie leżał. To był taki nożyk, że nie wstyd z nim spać. Ziut poszedł w las, grzyba nie przyniósł, kozik zgubił. Szukał całe miesiące, nie znalazł.
Roch, ten to miał oko na grzyba. Wystarczyło, z psami do lasu wszedł, całą czapę przyniósł. On i za płot daleko nie wychodzi. Tylko do sadu, do pigw.
Ziut, Roch – to nie są leśne dziadki. Jeden tylko by pod zlewem leżał, drugi z bimbrem w klubowym.
Mamy linię produkcyjną. Nasz bimber to bajka. Lepiej pić niż chodzić, bo zalesienie nudne. Jedno drzewo podobne do drugiego. Nużące widoki. Są tacy, co to lubią.
Na szczęście pofalowanie terenu brzydkie. Grill się źle rozstawia. I nikt nie przyjeżdża.
Mnie się tu podoba. Grzyby mamy z miasta, od Jagody.
Miała wolne, przywiozła matce i ojcom grzybki.
Skubnęłam kapelusz i wszędzie się zrobił Las Vegas, wszystko się świeciło, jeździło, chodziło.
Ziut powiedział:

To takie psianki. Gówno nie grzyby.
Ale wyżarł z pół kapelusza, stał i czekał.
Ziut po grzybach czmychał po domu szybciej niż kot. Wyglądał jak natchniony dekorator. Rozglądał się na boki, tłumaczył rękoma, opowiadał o meblach, tapetach, obiciach, robił wygibasy.
Roch zjadł szczyptę. Powiedział, to na mnie nie działa. Ja jestem stary grzyb. Ja jestem hipis. Ja jestem stary grzyb i anarchista. Grzyb nowoczesny może mi naskoczyć.
Usiadł. Nic go nie brało.
Poszłam przykryć Jagodę. Trochę przy niej posiedziałam, trochę na nią popatrzyłam. Spała po grzybie jak dziecko.
Poszłam sprawdzić Ziuta. Nawalił się grzybem, spał na płocie, przewieszony jak chodnik. Nie dało się go zgarnąć.
Wróciłam do klubowego. Roch patrzył na mnie.
W porządku?
Wydawał się zmęczony.
Dobrze się czujesz?
Nie odpowiedział.
Nagle się wzmożył. Zaczął biegać. Bardzo szybko. Taka hulanka, galopem do chlewu, do stodoły, obory, z przytupem na ganku i kutasem na wierzchu. I znowu to samo: chlew, obora, stodoła. Chlew, obora, stodoła. Z przytupem na ganku. Chlew, obora, stodoła. Obertas dezerterów.

Grono pedagogiczne…

Grono pedagogiczne do lotnych nie należy.
Nawet nie kojarzą, że kiedyś zdobyłam puchar. Pokazywali w telewizji.
Byłam juniorką medalowaną. Ale w ciągu kilku miesięcy urosły mi piersi i punkt ciężkości się przesunął.
Miałam już spakowaną torbę na zgrupowanie. A tu trener przy wszystkich mówi:
— Z takimi cycami to na ulicę albo do rozrodu.
Śmiali się.
— Ty już się tu nie pokazuj.
— Mam dobre wyniki, powiedziałam.
— To były twoje ostatnie dobre wyniki.
Śmiały się też moje przyjaciółki.
— Na ulicę albo do rozrodu, powtórzył trener, zadowolony.
Wyszłam z klubu. Poszłam na przystanek. Uciekł mi autobus, uciekło mi dzieciństwo.
Miałam dwanaście lat, ani pod latarnię, ani na porodówkę. Gimnastyka sportowa to było moje wszystko.
Pod wieczór wsiadłam w autobus. Wróciłam do domu i zaczęłam płakać. A nigdy w płaczu dobra nie byłam.
A teraz tak płakałam, do wymiotów, do gorączki. Dzień w dzień, noc w noc. Nie mogłam się zatrzymać, okres zgubiłam.
Do następnej klasy zdałam warunkowo.
Ojciec poszedł do dyrektora, zadziałał wbrew prawu, odpowiednio się dogadał.
Ojciec żył z gadania.
Zajrzał do pokoju. Popatrzył, jak płaczę.
Mowa była krótka.
— Po kiego grzyba był ci ten sport. Ojca nie słuchasz, ludzie cię rozumu nauczą.
Dopadł do mnie, wyciągnął spod kaloryfera. Złapał za włosy, szarpał.

To go oplułam i kopa w krok. Nie dałam się. Walkower to nie jest mój styl.
Pokazała się mama. Szurnęła do niego, jedną ręką ojca za policzek jak szmatę, drugą za ucho. Zawył, odepchnął ją.
Wystartowali do bicia, a nie umieli się bić. Przepychali się po pokoju. Długo nie trwało. Nie mieli kondycji. Popadali jak muchy po kątach.
Przyniosłam cenzurkę, wyniosłam na śmietnik dresy, stroje.
Chciałam pizgnąć puchar, ale szybko po zawodach ojciec go sobie przywłaszczył.
Na biurku w kancelarii zrobił wystawkę z moim zdjęciem. Stoję na podium, na samej górze w powadze, jedenastoletnia. Spocona i zacięta, jak przodownica pracy sportowej.
Były wakacje w płaczu. Z domu nie wychodziłam. Tak wyłam, okna trzeba było zamknąć.
Strułam się tym nieszczęściem, a na nieszczęścia nie mogłam patrzeć. Na samą myśl o nieszczęściu głowę mi odwracało.
Już nie będę tak płakać. To się nie powtórzy, nie wróci.
Cycki zostały. Nie tak patrzą mi na twarz, jak na te cycki. Biorę to na klatę.
Warunki są, jakie są. Na warunki nic nie poradzisz.

Do pokoju nauczycielskiego nie zaglądam…

Do pokoju nauczycielskiego nie zaglądam, siedzę w kanciapie przy gimnastycznej.
Mam widok na drabinki, swój czajnik i suchy prowiant. Wali tu grzybem od starych materaców, od niektórych z grona też wali.
Chodzę tylko przywołana. Nie dla przyjemności. Nie odzywam się. Ale przed wakacjami nie wytrzymałam.
Rozgadali się jak zwykle. Głównie o wolnym, zbliża się koniec roku szkolnego.
Wcześniej zrobiliśmy szybką zrzutkę na popitę. Torty i ciasta rodzice przyniosą.
Od kilku lat świadkuję modzie na produkcje cukiernicze piętrowe, w kolorach raczej niespotykanych w przetwórstwie spożywczym. Niektórych uczulają, podobno wysypka do połowy lipca zawsze złazi.
I co roku jest tego tyle, grono ma już przygotowane pudełka i torby, do domu donieść, rodzinę, i kogo tam jeszcze, ugościć.
Ja nie jem.
To grono już wiele przeżyło, ale nadal wszystko je. Przecież jeszcze nikt nie umarł.
Zdarzały się zbiorowe zatrucia. Czego się dziwić. Nie wszyscy z naszych podopiecznych mają szlaban do góry i do następnej klasy. Rodzicom puszczają nerwy i salmonella gotowa.
Co do zebrania. Zrzutka na napoje mniej i bardziej wyskokowe szybko przebiegła. Doceniam prędkość. Po miesiącach użerania się każdy już tylko wygląda, by się uwalić na trawie w terenie niezabudowanym. Popatrzeć na flaszkę i na wodę płynącą. Grono ma swoją łączkę nad rzeką.
Na zebraniu jeszcze to jakoś wygląda, mamy tu niestety monitoring. Tylko do własnego użytku, chyba że zdarzy się coś na pierwszą stronę internetu. I na ostatnią się jeszcze nie załapaliśmy. Cieszy mnie ta denna liga.
W pokoju nauczycielskim gadają jeden przez drugiego.

Na koniec, jakby już na odchodnym, powróciła znana sprawa.
Trzeba księdzu do rozsądku przemówić, bo nie wszystkim naszym uczennicom daje rozgrzeszenie i chodzą słuchy, to od tego są nieszczęścia w naszych lasach.
Wcześniej były próby podejścia księdza, liryczne wygibasy, marne podchody w umizgach i komplementach, były szkolne przyjęcia na okoliczność urodzin księdza, był tort i były mowy, były długie owacje, ale ksiądz ma rozsądek daleko, nie dotarły.
Nie dało się tego słuchać.
Powiedziałam, wezmę księdza na siebie i sprawę raz na zawsze załatwię.
Cisza poszła. Wystraszyli się. Czemu? Nie wiem. Nie znam bliżej ludzi.
W końcu odezwał się dyrektor:
Uważaj, za bardzo podskakujesz.
Co masz na myśli?
Nie odpowiedział, kilka razy na stołku się poprawił. To mężczyzna raczej małomówny. Chyba że jest już po rozdaniu świadectw i siedzi na piwku nad rzeką.
Biorę księdza na siebie, powtórzyłam.

Ojciec nie zapowiadał się…

Ojciec nie zapowiadał się w żaden sposób. Nie powiadamiał o wizycie czy śmierci, ale i w sprawach życia też mało kiedy dzwonił. Z dworca długo wędrował, mylił się, źle skręcał, nadkładał drogi, człapał, człapał. I przychodził.
Przychodził na głucho.
Stawał pod bramą. Zawsze zwlekał, jakby mocował się jeszcze z jakąś chodzoną myślą. Pewnie miał swój wędrowny rozkład i tu był postój. Albo chciał nas podpatrzeć – jak naprawdę żyjemy.
Nie pamiętam, by kiedyś nas przywoływał, nacisnął klamkę, a wiedział, furtka otwarta. Może czekał, aż ktoś go zobaczy.
Psy stały od strony podwórka, patrzyły na niego, w ciszy.
Psy mają swój niuch, swoją pamięć. Wpuszczały ojca bez słowa. To, co słabe, tylko obwąchają.
Patrzył jak włóczęga, zdziczałym, nieufnym wzrokiem. A teraz stał tyłem do domu, uśmiechał się.
Zeszłam z motoru.
Czekał na mnie w jakimś nieznanym wcześniej dosycie, przytył, odmłodniał. Poprawił się na twarzy, dostał brzucha. Dawno tak dobrze nie wyglądał, na całkiem miłe życie.
I tylko ubrał się niestosownie, zbyt ciepło na spiekotę. Kolejny elegancki, stary płaszcz, ciężki i rozmamłany.
Wyczekiwał z zadartą głową, niby wytworny. Nagle bez wspomnień na karku.
Stał na tyle długo, bym się jeszcze napatrzyła na niego.
Jakie tu jest okazałe lato.
Na wejście przepłacił komplementem, za kilka dni już łaził, kwękał, wszystko mu tu zbrzydło.
Zrywał się wcześnie, wodą się nie ochlapał, nic nie zjadł, nie wypił. Dreptał wkoło domu, w majtach i klapkach, drapał się po głowie, po goleni, po dupie, nudno mu było.
Pieczemy swój chleb. Dorywał cały bochen. Stawał w rozkroku, jak cyklon, rwał na strzępy, maczał w oleju i cmokał, aż wycmokał do

skóry. Resztki byle gdzie, za siebie, dla psów, dla kur. Myślał, jak jest na wsi, to wszędzie chlew.
Robił sobie jaja sadzone, duszone warzywa, nic, co się przyniosło z kurnika i ogrodu, długo nie stało.
Nigdy go w kuchni nie widziałam, a na starość smaży, gotuje, ciska kurwami i nożem, szatkuje. Patrzyłam jak na obcego.
Wołał nas do stołu, nie czekał, zasiadał i od razu się raczył. Jadł szybko jak pies. Talerz blisko brzucha, jedną ręką objęty, żeby nikt nie wyrwał.
Zawieszał na moment przeżuwanie, odwracał się, szukał mnie wzrokiem i pytał:

Lida, rybko, czy jest tu chińska knajpa?

Mówiłam, nie ma.

Chińska, japońska, tajska. Z azjatycką obsługą. Nie jakieś pryszczate obszczymury z tych stron, kelnery-goryle, co nawet karty nie umieją czytać. I jak bachorom wtykają pod nos książeczki obrazkowe.

Słyszycie? Wzniecał większy głos, popędzał. Jest tu chińska knajpa?

Nie ma, tato.

Lida, ja nie pytam o byle budę. Mam ochotę na porządną chińską restaurację. Obowiązkowo z kelnerem. Biały obrus, solniczka ze szkła.

Zygmunt, zlituj się, tu nic nie ma, przycinał go Roch.

Nie wiem, po co przyjechałem. To jest męka.
Dzwoni jego telefon, często, również o dziwnych porach, co go rozochoca.

Kto to? Pytałam.
Lubi, jak mnie coś ciekawi z jego życia. Szuka mnie wzrokiem i odpowiada:

Ciągle w tej samej sprawie, kochanie.
Nigdy nie odbiera od razu, zawsze wyczekuje, zwleka w nerwowej przyjemności. Podejmuje kontakt po wielu sygnałach i ze sztuczną grzecznością w pierwszym zdaniu kłamie, że rozmowa jest nagrywana. Przedstawia się, najpierw tytułem: mecenas, potem z dwojga imion i nazwiska.

Czym mogę służyć?

Słucha. Wygląda, że słucha. Zamyka oczy, kiwa głową. Daje się wygadać.

Rozumiem, nagle ucina.

Kaszle, czyści struny, wydobywa mocny głos.

Informuje, zamknął kancelarię, spraw nie prowadzi, do sądu nie chodzi i nikogo już nie zna.

Znowu słucha w pobłażliwym uśmiechu. Lubi ten swój grymas, często z niego korzysta.

Wreszcie odpowiada, żadnego znanego mu adwokata z czystym sercem polecić nie może, proszę mi wybaczyć. Taki jest stan faktyczny. Do widzenia, moje uszanowanie.

Rozłącza się. Robi kilka kroków, wykręca szyję, dla rozluźnienia.

Za każdym razem Roch ma na to jedno zdanie:

Pewnie dzwoni jakaś dziwa, a on udaje, że jej nie pamięta.

Ojciec marzył, by dać mi na imię Temida.

Żaden sąd nie znalazłby dla mnie okoliczności usprawiedliwiających.

Szczęściem to matka nadawała imiona wszystkiemu, co się im wydarzyło. Nie była uparta. Zawsze chciała się spotkać z ojcem w połowie drogi.

Jestem Lida. Pasuje mi.

Zabierałam ojca nad rzekę. Godził się na każdą wspólną wyprawę. Szedł dwa kroki za mną, razem z psami, klął, pluł, że wchodzą w paradę.

Pływałam, on dreptał po brzegu, wodził za mną wzrokiem. Czasem robił daszek z dłoni.

Wychodziłam z wody, zawsze mówił:

Lida, pływasz jak ryba.

To nie był komplement. Zachwytu nie było. W rodzinie tylko ja w sport poszłam.

Ojciec, matka gardzili wysiłkiem fizycznym, grali tylko w brydża, przy ginie i krakersach. Cygaretki i cygara. Radio Wolna Europa. Po północy zaczynali śpiewać pieśni patriotyczne – niektórym po gorzale odwala.

Powiedziałam, rzucam miasto. Jadę na wieś.

Ojciec ogłosił, że złamałam mu życie, zwięźle, w tonie dla siebie przymilnym.

Bardzo go ciągnęło do nieszczęścia. Tylko wtedy był szczęśliwy.
Matka zapytała, co tam będę robić.

Uczyć fikołków w szkole.

To praca od podstaw czy młodzieńczy bunt?

Nie rozumiem pytania, odpowiedziałam.

Pytałam o pracę organiczną.

Odrzuciła szybko. Tak właśnie matka przyjmowała każdy nokaut od losu.
Poszła zapalić papierosa. Podała sobie ogień, dodała:

Praca od podstaw, praca organiczna. Mam świadomość, że wyjaśniam ci ignotum per ignotum.

Matka pyta, czy będziesz chłopką, cisnął ojciec. Będziesz zakładała kółka gospodyń wiejskich? Powodzenia!

Cieszę się, że wyjeżdżam.

A niech idzie w lud, wyrzekła matka.

Zabrzmiało jak rozkaz. Zgasiła papierosa. Cała złość poszła w peta.
Usiadła, patrzyła na mnie. Z pewną łaskawością. Jakby nagle zobaczyła swoje nikłe podobieństwo, blady odcisk papilarny tej samej linii żeńskiej.

Jesień wlokła się ciepła…

Jesień wlokła się ciepła. W grudniu sypnął śnieg i utopiła się jedna ze swoimi małymi. Weszła w rzekę.
Na mikołaja była u mnie.
Pod bramę zalazła, z małymi, z wózkiem, a śnieg po kolana, dzień, noc padało. Smutna nie była, dokładnie widziałam, dzieciaki okutane, ta bez szalika, czapki.
Postała przy bramie, bez żadnej przymilności. Dałam pieniądze i poszła.
Zmarzliną po swoich śladach, drogą do lasu, ale między drzewa się nie wpuściła. Wiedziała, tam jest skrót, stara miedza, uklepana ziemia, przez to wózek ciągnęła.
Patrzyłam na nią przez okno na strychu.
Dach się trochę zapadł, naprawiali, to kazałam wstawić okrągły świetlik z widokiem na las.
Patrolowałam ją z oddali jak przez lunetę.
Potem, nie wiem czemu, nigdy tego nie robiłam, niewygodne, a i zimnica, łeb urywa, otworzyłam okno i wysunęłam głowę, mocno skręciłam szyję furtkę zobaczyć.
Wiedziałam, zdaje mi się, i byłam pewna, ona nadal tam stoi z tymi swoimi, dopiero przyszła. Zaraz zejdę do niej, po drabinie, przez sień i ganek.
Mamy przy wjeździe jaśmin, dziko poszedł i czasem się za mniejszych ludzi podaje.
Jak głowę do domu schowałam, już jej i na dalekiej drodze nie było. Nawet jednego, jak sraka muchy, czarnego punktu na śniegu. Dziewuchy szybko tu chodzą.
Po nowym roku nastała inna zima, mokra, bez śniegu. Deszcz zacinał.
Sad wyglądał, jakby wdało się zakażenie. Drzewa podeszły zgnilizną, po kostki w mazi.
Roch martwił się o pigwy. Łaził z tyczką, napowietrzał ziemię.

Potem pogoda poluzowała. Cieplej i cieplej. Czerwiec, lipiec, sierpień – od maja wszystkie miesiące bez kropli deszczu.
Ogród podsychał, co przeżyło, dało radę.
I w lesie mech dobrze przerzedziło, ale w rzece ciągle było dużo wody.
To już nie to koryto co dawniej. Opasły rów. Trudno się było wydostać.
Molo zbudowali, rzeka zabrała. Skakałam ze skarpy na główkę, szybka, jakby kto czas mi mierzył. Teraz to rzeka wódy i krwi płynie tu żwawiej niż ta nasza. Nigdy nie wiadomo, gdzie płycizna, gdzie nurt za gardło złapie.

Tu jest za dużo przyrody, mówi Ziut.

On się tu urodził, ma prawo, żeby mu się nic nie podobało.
Kwietne łąki, mokre rowy. Las przechodzi w las, pole w pole, a wszystko nasze, zatem nieużytki.
Były większe pieniądze, więc się ziemię kupiło, żeby nam tu ciszy traktorem nie rozjeżdżali.
Jak coś ryknie, to tylko mój motor.

Tu jest za dużo przyrody, mówi Ziut, powoli, jakby człapał przez błoto w polu.

Po udarze lekko zaniemówił, właściwie nic nie mówi, cały czas się uśmiecha. Teraz znowu się odezwał, najbardziej lubi być swoją papugą.

Za dużo przyrody, powtarza.

I głos mu się zestarzał. Kiedyś wszystko miał jak dzwon. Blondyni nie byli w obszarze moich bliższych zainteresowań. Jednak uroda Ziuta swoje ważyła.
Piję w moim szkle. Zawsze mogę liczyć na swoją szklankę i do niej mam słabość. To rodzaj afektu sportowego, coś jakbym z nią grała w jednej drużynie. Ani to pamiątka, ani sentyment. Nawet nie wiem, skąd się w domu wzięła. Krótka, mocna w podbiciu, szkło niebieskie, rzeczne, za tą rzekę bym żyły wypruła i na trzeźwo.
Ziut wstaje z trudem, chwilę stoi, siada. Co jakiś czas podnosi się jak do apelu. Pewnie sprawdza – ustoję czy padnę.
Raz padł, a wstał dopiero za dwa tygodnie, z tego ta mania.
Roch też to zauważył, mrugnął do mnie.

Pływałam. Odwiozłam ojca na dworzec. I do rzeki.

Jak ci się dziś pływało? Zapytał Roch.
Lubi się zgrywać na salonowe konwersacje. Wie, że każde jego pytanie zionie pustką. Nie odzywam się.
Posłał mi całusa.
To już chyba kastrat. Ale cały czas mnie podpuszcza. Ma jeszcze to oko z pazurem.
Podlazł pod dawny stół kreślarski z flaszkami. Urody żadnej z tych flaszek nie da się przecenić, duże, małe, pękate i smukłe, a jedna piękniejsza od drugiej.
Roch przejrzał to piękno przeze mnie stworzone, a od tej adoracji rąk nie mógł utrzymać przy sobie. Chwilę wahał się, wzbudził dziwne ruchy w kolanach.
Wreszcie wziął jedną, odstawił. Sięgnął po drugą, schowaną w czwartym czy piątym rzędzie. Mocował się z korkiem, z grymasem, jak wtedy, gdy na nim siadałam.
I pach. Poszło. Odkorkował, orgiastycznie, syknął. Cała rozkosz na szybko, pusto i całkiem głucho. Coś niby stary zaskroniec w pułapce na myszy.
Usłyszałam. Mam słuch jak młoda wyżlica.
Roch dostąpił do mnie, potem do Ziuta, zelżał na twarzy. Lubił w sobie ten kelnerski dryg, niby usłużny, a bez kropli znużenia.
Widziałam, najdroższa wódeczka-ślepotka już mu w nochal poszła, aż chrapy chodziły.
Wystawiliśmy szklaneczki, żeby się za bardzo w swej dobroci nad nami nie nachylał. Zdarzało się, skłonu nie utrzymał. Ledwo cięciwę z pleców zrobił, zaraz się uwalił i upadł.
Roch jest jak szkło, trudno się go zbiera.
Wyczuł nas, wymruczał:
Panie, panowie, spokojnie. Dzisiaj nie jestem taki stary.
Zgrabnie obsłużył nasze niedzielne pijaństwo, usiadł z flaszką. Odchylił się, niby mierzył oparcie fotela. Wyciągnął nogi, westchnął, jakby się po całym dniu złaził.
Wreszcie i nagle skulił się, a właściwie zgiął jak scyzoryk i nalał sobie. Po całe wręby, nic się nie ulało. Roch – człowiek z miarą w oku, jak to geodeta.
Uczuł, że o nim myślę. Popatrzył na mnie. I ja na niego patrzyłam. Jeszcze nie wiedziałam, pokazać mu język czy rozchylić uda.

Mam rękę do bimbru…

Mam rękę do bimbru, motoru i mężczyzn.
Jak człowiek dorosły i sierota, pigwa-bimber to najlepszy zamiennik mleka matki.
Lekko kwaskowata, bardziej słodka, a kopnąć potrafi. Polecisz na łeb i gdzie się zatrzymasz, tam zostaniesz, najmniej z godzinę, a najpewniej do rana.
Roch zna te katapulty. Leżał już wszędzie. Czasem sam się podniósł albo Ziut ciągnął go za nogę, z drogi, z kurnika czy innego chlewu, by go pizgnąć pod ganek.
Roch to był wielki mag – erekcja na gwizdek. Teraz bardziej chłopak od wszystkiego. Szybko się nam zestarzał, całkiem zetlały, ale polewa z gracją wielkiego kocura.
Pijemy bez niczego, siedzimy w kręgu całkiem na golasa.
Z Rochem goliznę mamy we krwi. Gorzej Ziut. Nastał nam tu wstydliwy, a przecież na tle marnej chaty wszystko w Ziucie było na medal.
Uparł się. Bez majtek tylko do snu albo do naszych łap. Uczył się, aż się nauczył, że w terenie niezabudowanym przepisowa tylko goła dupa.
Na Ziuta da się patrzeć, gorzej się sprawuje. Startuje do zawodów, chce się głębiej we mnie wyprawić, ale jego kutas jak buława w plecaku, tylko się dobrze zapowiada.
Czasem skrada się, z boku, od tyłu. Podchodzi jak do miłosnej rozróby, a kończy się na buziaku do bruderszaftu.
Ziut niżej ust nie schodzi. Co go zachęcę, strąca poprzeczkę. Nie jest w formie.
Widzę, ocknął się, maca mnie oczami, aż kolana mu chodzą. Patrzy, jakby mi tam pękła uszczelka. A chyba ciągle zna się biegle na różnych zaworach, przeciekach, większych awariach.
Po szpitalu zmarniał. Już go do szamba nie wołają.
Roch siedzi przytęchły. Młody, jak go wzięłam, całkiem w chłopięcej chudości, a już porysowany w sercu. Nie myślałam, że ta rdza tak

szybko pójdzie.
Poznałam go na drodze, leżał pokotem, już wtedy przejawiał pociąg do wyskokowych napojów. Myślałam, kota przejechałam, a to motor podskoczył na Rocha nogawicy.
Nie wiedziałam, budzić geodetę czy machnąć ręką i jechać dalej. W końcu lekką nogą poturlałam go w rów, niech w melioracyjnym kima.
Nagle otworzył oczy.
Co mierzymy? Zapytał.
Głos mocarny, chłop mały, nie wiem, skąd go dobył. Jakby zamiast grdyki dzwon mu dyndał.
Nic się nie odezwałam.
Ma pani areał? Dopytał w radości, jakby już pewny, z kim ma po nocy do czynienia. Pani tak ładnie mnie w tym rowie ułożyła.
Bo pan się tak ładnie schlał, odpowiedziałam.
Wsiadłam na motor i przed siebie.
Przylazł na następny dzień.
Z tego, co pamiętam, a pamięć w tych sprawach nigdy mnie myli, z Rochem zawsze było co w łóżku robić. Rozróba, że huk. Taki gimnastyk, łatwo się nie odkochasz.
W niczym mu nie ustępowałam. Byłam dziewczyną gumą i dużo z tego jeszcze mi zostało.
Nigdy nie miał dobrych warunków na amanta, z żadnej strony i na żadnej wysokości nie wyglądał. Nadrabiał techniką, małpią zręcznością w układach dowolnych. Jaki nie byłby rozbieg, jakie odbicie, zawsze wskoczył na podium.
Tylko uczucia wyższe mu nie wychodziły. W miłości do bani, a wyznawał mi wielokrotnie, na kolanach i z kwiatami. Na kolanach pewniej mu było, bo na wyprostowanych nogach się słaniał.
I w upojeniu zachowywał się kulturalnie. Większość panów abstynentów tych manier nie zna.
Wyznania były podebrane z lektur szkolnych, same porządne komunały, z lekką zamianą słów.
Lido, ojczyzno mego serca. Ile cię trzeba kochać, ten tylko się dowie, kto cię stracił. By dać przykład.
Znowu nas obsłużył.

Trzeba przyznać, tyle razy zwalił się z fotela, ale nigdy nie wypadł z roli pana domu.
Potem nalał sobie, usiadł i powiedział:
Tu się umiera bez ostatniego słowa. Zaczyna się gadać dopiero po śmierci.
Wygłosił zbyt niechlujnie, by wyglądało na mowę końcową.
Roch lubi grozić śmiercią. Nic sobie nie zrobi. Mężczyźni nawet umrzeć nie potrafią.
Zaraz potem wpadł w milczenie. Nie sięgnął po szampankę, siedział pochylony, jakby się gotował czy czego szukał, niespokojny. Ani jednego słowa nie znalazł, żeby się stamtąd wydostać.
W końcu zelżał w twarzy i nogach, wypił łyk i strzyknął bimbrem.
Wytarł usta dłonią:
Szczyny i blady kompot.
Powiedział na dwa razy.
Szczyny i blady kompot, powtórzył. I pił już bez słowa.

Ziut bardziej patrzy na kury…

Ziut bardziej patrzy na kury niż na mnie.
To wolne kury, wszystkie brązowe, niosą się, jak chcą. Jaja jak pięść.
Mogłabym być lepsza dla kur. Wysłać Ziuta po młodego koguta, niech tu lata. Ale stary zaraz od tego zdechnie. I po kuprze widać, że zazdrosny. Wyżera z psiej michy, nie schyli się do ziarna. Po całych dniach kima w sieni. Nie wiem, kiedy był na grzędzie.
Kogut to nasza starszyzna. Wyskubany, obesrany, koślawy, kaprawy. A mądry, tylko mu zamachać siekierą, zaraz spieprza. Chyba ma już kataraktę, pokazać mu wała, też ucieka.
Tchórzliwy i brzydki, ledwo żyje, a kurę zdybie. A kury są dla towarzystwa, dobrze to wiedzą. Łażą, grzebią gdzie popadnie. Wskoczy na stół, zrobi obchód po talerzach, usiądzie przy solniczce i duma.
Lisy mają gorzej, nie wiedzą, gdzie siedzieć: pod kurnikiem czy pod gankiem.
Lis usiądzie i patrzy na kurę jak sroka w gnat. Oczami czaruje. Przy naszym kogucie i wyskubany lis piękny. Można zasadzić się z pogrzebaczem na całą noc, lisa przegonić, co to da.
Była u nas kura, co się sama pchała do lisa. Lis zdurniał od tej zachęty, długo na siebie patrzyli, aż się wreszcie rzucił na nią, chwycił i pod las. Tam się odprawiły krwawe gody.
Są kury, co takie miłości lubią. Albo takie, co mają dość koguta, kurnika i tej całej wolności z dumaniem, z kimaniem gdzie popadnie. Wola kury. Niczego nie wzbraniamy. My tu tylko razem mieszkamy.
Ziut, synek tej ziemi, pod koniec dnia łazi szukać kur, zagnać do kurnika, do domu, zdążyć przed kurzą ślepotą.
Usiądzie na pieńku, cały dzień na nie patrzy. A głowę przekręca jak mały psiak. W końcu się zbierze, weźmie jedną pod ramię, pogładzi, dzióbek da, za nóżki złapie, położy na pieniek i w szyjkę siekierą.

Roch skubie i gotuje. Jemy jak ludzie, przy jednym stole, zgodnie, bez zbędnej gawędy. Łączy nas również niewypowiedziana pogarda dla słowa „smacznego”.

Siedziałam mokra od rzeki…

Siedziałam mokra od rzeki, a tu geografka idzie.
Skrzywiłam się, chce się ze mną kolegować, a ja koleżanek nie potrzebuję.
Ledwo się przysiadła, pyta:

Pływasz na golasa, czy to aby zgodne z Kartą nauczyciela?

A skąd mam to, do diabła, wiedzieć. Nie wchodzę do rzeki w ubraniu.

Wiadomo, w ubraniu tylko samobójcy się kąpią. A opalacz?

Widziałaś mnie kiedy w kostiumie?

A to tak zdrowo bez niczego?

Bardzo, odpowiedziałam rzeczowo.

Chwilę siedziałyśmy w milczeniu.
Do niczego nigdy nie zachęcam, ale dodałam:

Na golasa wszystko, co się robi, na zdrowie wychodzi.

Właśnie, westchnęła.

Domyśliłam się, teraz będzie o mężczyznach. Uczy geografii, a dalej niż w kościele nie była. Za żadną wycieczką się nie rozgląda, rozgląda się za chłopem.
Powiedziała, że ściągnęła aplikację randkową.

Dużo kobiet się ogłasza, niby szuka miłości, bratniej duszy, towarzystwa czy sponsora, a ja napisałam, że dam za darmo. Nikt się nie zgłosił. A zdjęcie dałam ładne, bo cudze.

Trochę się rozgadała na ten temat, z przerwami na szloch.
Nagle wstała i warknęła, jakby mnie do tablicy wywołała:

Powiedz, jakich miałaś. Powiedz mi o każdym. Tylko powoli i po kolei.

Spojrzałam na nią:

Ja do mężczyzn pamięci nie mam.

Obraziła się. Niestety na trochę. Tu jest mało mieszkańców i z honorem trzeba uważać. Tu się ludzie nie obrażają, boby człowiek do końca życia nie miał do kogo gęby otworzyć. A lubią gadać.

Zaproponowałam, podrzucę ją motorem do domu. Autobus jej uciekł.
Bała się. Powiedziała, że czuje ode mnie alkohol.
Ja też czuję od siebie alkohol, zgodziłam się. Po alkoholu zazwyczaj jestem zgodna.
Dziś nie piłam, żeby mieć lepszy charakter. Wydoiłam szklankę, bo przypomniałam sobie mamę. Ale tylko ogólnie. Nie mogłam przypomnieć sobie jej twarzy. A twarzy matki, jak jazdy na motorze, nie zapomina się. Musiałam zdjęcia szukać. W telefonie nie mam, umarła przed nową komórką.
Zadzwoniłam do Jagody. Nie odebrała.
Zadzwoniłam jeszcze raz. Nagrałam się, niech przyjedzie z grzybami.
Poszłam na strych do kufra. Znalazłam matki zdjęcie. Podskoczyłam, jakbym zobaczyła ducha.
Mama młoda, szczęśliwa, w letniej sukience.
Ledwo z drabiny zlazłam. Musiałam się napić.
Twarz mamy powinno się pamiętać bez zdjęcia, wygłosiła geografka.
Potem podrzuciła trochę słów pociechy, bo niestety jej matka żyje. O czym wszyscy wiemy, codziennie tę wiedzę nam odświeża.
Ma ajcka. Rozumiesz. Nie chodzi, nie mówi, ale niestety wszystkie narządy zdrowe. Pewnie umrze, jak przejdę na emeryturę.
Wtedy ściągniesz sobie więcej aplikacji.
Pewnie też będę miała ajcka.
Powiedziała i poszła sikać w krzaki.
Zdjęłam łańcuszek, rzuciłam za jej torebkę.
Przyszła.
Będę miała ajcka. Umrę w DPS-ie bez szklanki wody przy ustach.
W rzece jest dużo wody. Zawsze możesz się utopić.
Przestraszyła się.
W końcu dała się namówić, podrzucę ją choćby przez las.
Wstałyśmy. Znalazła łańcuszek. Cieszyła się z kwadrans. Musiałam przyrzekać, że to nie mój.
Schowała do portfela.
Jak pójdziesz na randkę, będzie jak znalazł.

Poszłyśmy po motor, a było pod górę. Czułam, jestem zmęczona i nawalona. Bardziej zmęczona, a napruta lekko.
Podrzuciłam ją.
Lubię jeździć na motorze, i to nie jest motorynka, to rakieta.
Był ciężki dzień, kilka razy straciłam panowanie. Geografka strasznie się darła, jakby mężczyzna w nią wchodził. Ale grzecznie podziękowała za podwózkę.
Zaczynał się teren zabudowany, słabo i wiejsko, a nadal czułam od siebie alkohol, więc dalej musiała iść na piechotę.

I tak bym cię nie zaprosiła, mama ma ajcka, rozumiesz. I tak by nie kapowała, że ktoś jest w domu, rozumiesz.

Ja do nikogo w gości nie chodzę, potem trzeba by było zaprosić. Ja się trzymam z daleka.
Pokiwała wielką głową i poszła do matki.
Trochę za nią patrzyłam.
Odwróciła się, pomachała mi.
Nie odmachałam, bo pomyśli, że jestem jej koleżanką.
Zrobiło się ciepło. Lato było niepewne, upał podejdzie, a po dniu się cofnie.
Wlazłam na motor i dałam nura w las. Motor tak ryknął, jakby tysiąc pił wyrzynało tysiąc drzew w pień.
Ledwo z lasu wyjechałam, a tu patrzę, psy na mnie czekają. Zatrzymałam się. Trzeba się z ferajną przywitać.

Myślałam, czekają na mnie…

Myślałam, czekają na mnie, a siedzieli śnięci nad bimbrem.
Ziut z głową spuszczoną na piersi, Roch z odchylonymi rękami, bimber w butli warował przy nodze.
Ojciec też był. Uśmiechnął się na mój widok.
Wyciągnął szklankę w moją stronę jak do toastu.
Nalali mi, pochwalił się.
Pijesz?
Tylko usta umoczyłem. Nie smakuje mi.
Mi też nie, odpowiedziałam i nalałam sobie.
Nauczyłam ojca pływać.
Dawno temu. Przyjechał kilka lat po kupnie domu, umorusany w złości, bo rzuciłam miasto i byłam szczęśliwa, czym zmarnowałam mu życie.
Było jeszcze wtedy małe molo, zanim desek na opał nie rozkradli.
Patrzył, jak skaczę na główkę. Miał chęć na kąpiel, widziałam to, ale rzeki się bał. Był w sile wieku, a chlapał się przy brzegu jak dzieciak.
Wystarczyła jedna lekcja, na którą się nie pisał. Podprowadziłam go na kładkę, pod łokieć i sprytem, pokazać śliczny widoczek.
Zagapił się na drugi brzeg, wtedy zrzuciłam ojca na głęboką.
Ratował się czas całkiem niemały. Głowa znikała pod wodą, wyskakiwała, krzyczał, machał rękami.
Uratował się.
Dopłynął do brzegu, jak piesek, uszy po sobie. Opił się wody i rzygał.
Nauczyć się pływać a lubić pływać, to inna sprawa.
Ojciec do wody już się nie garnie. Schodzi ze mną nad rzekę. Trzyma się daleko od brzegu, siedzi na skarpie i grzeje się jak gad. Opalił się na blachę. Przysypia w majtach, w starej bawełnie rozciągniętej do imentu.
Teraz siedzi tu z Rochem i Ziutem. Na wieczór w klubowym ubrał się w spodnie, w koszulę, ciągle umie to dobrać.

Nie schowałam jeszcze motoru, pojeździmy, tato?

Usiądź bliżej.

Zaraz będzie ciemno. Chodź, damy nura w las, zachęciłam.

Posiedź trochę.

To jutro zrobimy rundę.

Pokiwał głową.

Poczekaj. Tylko schowam motor.

Motor nie zając.

Wyjmę kluczyki.

Kto tu wejdzie, burknął. Prędzej go te wszystkie kundle rozszarpią, niż motor podprowadzi. Usiądź tu wreszcie.

Przystawiłam fotel blisko ojca. Trudno było, psy się wszędzie uwaliły.

Na tym świecie jeszcze tylko psy i pijaki trzymają się razem. Taka sielanka i wspólnota, wymamrotał.

Jak się czujesz?

Uniósł ręce. Pokazał sportowy znak, że koniec, czas minął.

Chcę się na ciebie napatrzeć, wymruczał.

Oglądał mnie sobie inaczej. Bez tej goryczki jak po większym łyku bez zagrychy.

Pływałam, wtedy ją zobaczyłam…

Pływałam, wtedy ją zobaczyłam. Julowa na brzegu stoi, wodzi za mną.
Stara, ciemna, twarda skóra, jakby węgiel żarła. Była krawcową, wołają na nią Grabarka. Co martwe przerzucisz przez płot, za psi pieniądz zakopie. Tak przyklepie, że nic się dla lisów nie uchowa. To nie jest dla nas usługa.
Pływałam, a ona za mną, wzdłuż rzeki.
Wyszłam z wody.
Nie odzywała się. Oglądała mnie sobie. Jakby gołej nie widziała.

Pani do mnie?

Przecież nie do ryb. Mam sprawę. Nauczy mnie pani pływać.
Pokiwałam głową.

Sama bym się wykształciła do pływania, ale brzeg stromy. Fikołka zrobię, wody się ochlam. Prędzej śmierć podłapię, niż popłynę. I kapota. To jak?

Zrobimy trening. Kiedy pani chce?

No teraz. Jakbym teraz nie chciała, to po co bym nad rzekę przyszła. Ja daleko mieszkam. Jak gdzieś mam iść, to idę.

Zgoda. Zaraz robimy pierwszą lekcję.

Ile tych lekcji będzie?

Tego nie wiem. Może i z dziesięć.

Może dożyję. A jak nie, to kapota.
Nie odezwałam się.

Pani wie, ile ja mam lat?
Wzruszyłam ramionami.

Niech mi się nie rozgada.

Trafił mi się taki wiek, że nie zliczę. Kapota.

Chce pani gadać, bo ja nie gadam. Mogę nauczyć pływać.

Ja nie chcę się uczyć, ja chcę pływać. Kapota. Może mi śmierć w rzece zasądzona.

Jak ja uczę, nikt się nie topi.

A ta pannica z dziećmi? Ją podobno wyłowili daleko, pod miastem. Kto to widział, w przymrozku się kąpać.

Ona nie chciała się kąpać, tylko utopić.

Grabarka splunęła dwa razy.

Szyłam pani portki na ciążę. Trefny materiał, śliski. W słoneczniki. Kwiatki ładne, ale za bardzo podcięte. Taka kapota. Słonecznik musi mieć swoją łodygę. Bez łodygi to taki byle aster czy inny żółty nagrobny.

A mówiła pani, że się pani podoba.

Dobrą pani ma pamięć.

Pamiętam tylko bzdury.

To pani ma wielkie szczęście. Ja też mam pamięć do bzdur. Taka kapota. Jak pani do mnie przyszła, to dla moich dzieciaków dwie gwiazdy pani wywinęła na podwórku.

I szpagat.

Tak. Rozkraczenie też było. A już pani kotna była. Ale jeszcze widać było po pani miasto, w oczach światełka.

A teraz jak?

No jak. Jak my tu wszystkie. Za ile te lekcje w rzece?

Za darmo panią nauczę.

Za darmo to można z ładnym panem. Pani tylko brzydkich lubi.

Uśmiechnęła się, zęby jak płot, osmolony, nie wszystkie sztachety.

Niech się pani rozbierze i do wody.

Rozebrała się do halki.

Czepiła się mojej ręki, zsunęła do koryta.

Weszłyśmy w wodę. Podprowadziłam ją bardziej w rzekę. Twarz jej się zmieniła. W strachu, a ufna. Zrobiłam kołyskę z rąk. Kazałam jej się położyć. Posłuchała.

Wyszła z wody, wysmarkała się.

Spojrzała na mnie.

Czemu z dziećmi się utopiła? Zimna woda. Taka kapota. W zimnej wodzie trzeba się ruszać.

Podobało się pani?

Nie odpowiedziała. Zdjęła majtki, zdjęła halkę, wyżęła. Wytrzepała. Poszukała patyczków, wbiła w ziemię, majtki choć trochę wysuszyć. Włożyła sukienkę, szal na włosy. Usiadła.

Weszłam w rzekę trening dokończyć. Długo na mnie patrzyła.

Na następny dzień już przy brzegu siedziała, całkiem goła.
Jak mnie zobaczyła, wstała i jedną nogą skarpę sprawdziła. Na dupie po piachu do rzeki zjechała.
Cztery lekcje i popłynęła jak ropucha. Śmiała się, wodą pluła.

Mamy nowego koguta…

Mamy nowego koguta. Ktoś go przyniósł pod płot, Roch za flaszkę wymienił.
Na kurę nawet nie spojrzy. Nie wychodzi z kurnika.
Często do niego zaglądam. Nie chudnie. Chyba lubi być smutny, dobrze mu w mroku.
Roch chciał go oddać, ale zaraz się rozniesie, kogut nie rucha i pójdzie na rosół.
Drugiego załatwił. Ten od razu na pierwszą z brzegu skoczył.

Wreszcie nimfoman, ocenił Roch, dumny z transakcji.

Załatwi nam wszystkie kury, uśmiechnął się Ziut.

Żadna na lisa nawet nie spojrzy, dodał Roch i popatrzył na mnie.

Minęłam go bez słowa. Poszłam pływać.
Patrzę, ojciec przyjechał, siedzi nad rzeką.
Nie ma bagażu, nawet jednej torebki z plastiku na drobne zakupy. Nie ma stroju do wędrówek. Schudł, pasek sterczy z boku. Może celowo zawyża rozmiar.
Po każdym wyjeździe zawsze coś zostawi, marynarkę, skarpetę. Ziut to zbiera, odkłada dla siebie. Lubi za małe rozmiary.

Znowu przyjechałeś?

Jak widzisz.

Przestało ci się podobać w mieście.

Miałem ładne samochody, drogie. Potwierdzasz?

Pokiwałam głową.
Uśmiechnął się:

Miałem takie blachy, widać było, mecenas jedzie. I miałem jeszcze, jak ty to, Lida, mówisz, nogę do gazu.

Miałeś nogę i mandaty.

Zaśmiał się, rozmarzony.

A nie wiem, czy wszystkie spłaciłem. Pewnie tak. Zaczym już nie mam tej pamięci co dawniej. Ciągle o tym pamiętam, że nie mam już tej pamięci. A to znaczy, że jeszcze trochę mam. I mam prośbę.

Jaką znowu?

Dwie prośby.

Mów ciszej.

Mówię jak zawsze.

Wczoraj tak się nie darłeś. Ledwo mówiłeś, musiałam telefon pogłośnić.

Bo wczoraj miałem wosk w uchu. Prośba jest taka: pożycz motor.

To drogi motor.

Ale tata droższy.

Zależy, jaka waluta.

No tak. Zapomniałem o przelicznikach.

Chciałam obiecać mu przejażdżkę, ale zaczął się drapać, zapomniał, że o motor pytał.

Jagoda nie odbiera. Dzwonię i dzwonię.

Ona ma firmę. Nie ma czasu.

Zapisałem jej mieszkanie. Sporządziłem porządny testament. Wierzę w testamenty. Dobrze, że choć dziadka ma, po matce i ojcach marne dziedziczenie będzie.

A co tam jeszcze słychać, tato?

Lida, pływasz jak ryba, powiedział cicho.

Musisz się myć, tato. Wszędzie kłaki, w nosie, w uszach. Roch cię ogoli.

Teraz lubię pociągi, teraz ojciec kudłaty.

Wyglądasz jak pies, co jeździł koleją.

Spodobało się, uśmiechnął się. Miał zęby. Błysnęło w macie. Ojciec to mumia z hollywoodzką szczęką.

Podałam mu rękę do wstania.

Chwilę tkwił nieruchomo. Musiał się bardziej uziemić przed pierwszym krokiem.

Jesteś w dobrej formie, tato.

Kłamiesz. Żyć się nie chce, a śmierć nie przychodzi.

Wzięłam ojca za łokieć, poszliśmy do domu.

A dlaczego ci się nie chce żyć, tato?

Tego nie wiem. Ale żyć się nie chce. Są na to kliniki. Nie dość, masz pokój z widokiem na Jezioro Bodeńskie, to jeszcze usypiają cię jak psa.

Roześmiałam się.

Ledwo z nim weszłam do domu, poszła mu krew. Podstawiłam pierwszy z brzegu garnek, nachylił się.
Ojciec ma te swoje skoki ciśnienia.
Wieczorem znowu nabrał sił. Rozsiadł się w klubowym, patrzy na nas, jakby ludzi nie znał. W dziwnym, narzuconym sobie zainteresowaniu.
Dostał literatkę, w niej kompot z wiśni, to teraz ojca gin.
Siedział z zaślepkami z toaletowego w nosie, zawsze sobie za dużo nawpycha. Ile by papieru nie wciągnął, każde zaszpuntowanie słabe. Krew zawsze da radę, przeżre się.
Machał rękami. Nie dał sobie nic poprawić. Opędzał się od nas i od much.

Widzisz, tato, salon trzymamy, a starości nie umiemy obsłużyć.
Chciałam go rozbawić, chyba nie pojął.
Zacisnął usta, schował zęby.

To ty, Lida?

Tak, to chyba ja, tato.

Zmieniłaś się, byłaś takim ładnym dzieckiem. Uroczą dziewczynką. No cóż, ja też się zeszpeciłem. Na tym to życie polega.
Ziut się roześmiał, w pełnym głosie.

Spodziewałem się, że będziesz pociechą na starość.

Jestem taką pociechą na starość, jaką ty byłeś mi podporą w młodości.

Oko za oko, ząb za ząb, powiedział ojciec. Takie tu prawo. Gratuluję.

I by pozostać w twoim języku, tato. Twoje roszczenia miłosne się przedawniły.
Roch zagwizdał.

Powinienem się obrazić. Ale ojciec nigdy nie obraża się na córkę. Zatem zostanę jeszcze trochę. To dom mojej córki. Okoliczności łagodzące są takie – wpraszam się, bo mama umarła. Wreszcie mam czas.
Ziut wstał, postał i usiadł.

Dałem wam na dach, dodał po chwili ojciec.

Ale się nam dzisiaj Zygmunt rozgadał. To mowa końcowa? Zaciekawił się Roch.
Patrzył na swoją szampankę, zadowolony.

Pomogłam ojcu się napić, dwa łyki, nie więcej.
Odstawiłam szkło. Dotknęłam jego ręki, nie cofnął jej.

Śmierć to jest droga dziwka, trzeba jej dużo zapłacić, żeby się z tobą zabawiła.

Uśmiechnął się, z ulgą, jakby wreszcie na to uciułał.

Tylko durnie żyją do końca, krzyknął Ziut.

W swoim dawnym, mocnym głosie. Jakby nas tu nie było, jakby nas wołał.

To tak się u was mówi na wsi? Wydrwił go ojciec. Ziut, jesteś pajacem. To tak skończyłaś, córeczko, z pajacem i moczymordą.

Kiedy wyjeżdżasz? Zapytałam.

Zaśmiał się sztucznie albo odkrztusił ślinę.

Oddalam pytanie, powiedział.

A ja je ponawiam. Jutro jadę do sklepu, podrzucę cię.

Pomyśleć, byłaś takim grzecznym dzieckiem.

Uśmiechnął się, blado, tyle, by wyciągnąć ze mnie przychylność.

Nawet się nie poruszyłam.

Roch i Ziut patrzyli na nas, bez ciekawości.

Zaczepił mnie znowu.

Byłaś bardzo grzeczna. I co ty na to?

Plułam i kopałam. Jutro odwiozę cię na pociąg. Chcesz?

Miło z twojej strony. Czuję się jak paczka.

Ojciec się zabił…

Ojciec się zabił, mógł to zrobić w mieście. Psy go znalazły.
Wziął mój motor i uderzył w drzewo. Głowa odbiła się od pnia, odrzuciło go na żwirówkę, daleko.

Ulało się z niego ze dwa wiadra, powiedział Roch. Dwa wiadra. Ja jestem geodeta, mam oko do miary. Trudno było stado odciągnąć. Psy się pobudziły. Niuchały i trzęsły się całe. Każdy chciał się dopchać, skamlały. A kilka siedziało, wygryzało się i wyło. Roch opowiadał o tym bez końca. Kazałam, żeby się zamknął.
Posłuchał, poszedł sobie.
Nie wiadomo, ile czasu ojciec tam puchł. Może bardzo długo, upał, spiekota. Droga tutejsza, obcy nie jeździ.
Trzeba ojca dołożyć do reszty rodziny, a mama pod bokiem nie leży. Tanio jak na wsi nie będzie.
Zadzwoniłam do córki. Nagrałam się.
Nie od razu oddzwoniła. Rozmawiałyśmy przez moment, nie mogła dłużej, ma firmę. Tylko powtarzała: „Szok. Szok”.
Dla młodych wszystko szok.
Więcej odpowiadała komuś na stronie. Cały czas ją o coś pytali. Była w pracy, na siłę musiałam się wtrącać. Chodziło mi tylko, czy się zajmie. Trzeba ciało do swoich sprowadzić.
Zgodziła się bez słowa. To udane dziecko, chociaż miastowe, z sercem i chyba przy większej forsie.
Chciałam coś jeszcze powiedzieć, rozłączyła się. Ale wszystko, co ważne, podałam.
Nie wiem, kiedy ojciec podprowadził mi motor. Pewnie byłam pod wodą.
Gdybym miała trening biegowy, usłyszałabym ryk. Silnik odpala jak rakieta.
Nie poszłam tam. Pobiegłam na strych. Wsadziłam głowę, w świetlik, patrzyłam z oddali jak przez lunetę. Przyjechało kilka samochodów, policja, karetka, pogrzebowy, ci, co obsługują śmierć. Ziut wszystko z nimi załatwiał. Dawał radę.

Zeszłam na dół.
Wrócił Roch.
Z żadnymi organami państwa nie miałem i nie chcę mieć do czynienia.
Powiedział. Usiadł z butelką i gładził ją po długiej szyi jak gęś. Nie pił.
Roch, psy szczekają.
Są w stodole, nie lubią tego.
Chwilę posiedzieliśmy w ujadaniu.
Chcesz procha?
Masz?
Ze wsi ktoś mi podrzucił. Za flaszkę. Mają wariata w domu.
Co to jest?
Proch.
Zamilkliśmy, wrócił Ziut. Polazł na górę, z przerwami, sił mu brakło. Przyniósł ze strychu dwa garnitury po ojcu.
Jeden rzucił na krzesło, z drugim wyszedł.
Nie wiedziałam, że ojciec tak skończy.
Jak? Nie zrozumiał Roch.
No wiesz. Idź do psów.
Chwilę zwlekał, wyszedł.
Pojawił się Ziut, przyszedł z drogi.
Zatrzymał się w drzwiach:
Zabrali Zygmunta.
Zadzwoniłam do córki. W sprawie nekrologu, żeby go nie było.
Nie odebrała, nagrałam się.
Potem tylko siedziałam. Było mi gorąco, spociłam się, rozebrałam.
Wyszłam przed dom. Czuło się wieczór, a było jasno. Słońce jakby się tylko wypłaszczyło, mocno grzało. Pewnie i noc będzie zbielona.
Psy stały ciasno, karnie, w karku skulone. Roch zmywał je szlaufem. Powinien zejść z nimi do rzeki. Jakby tu była buda, toby się do niej uwiązał i stróżował.
Ziut siedział na niskim murku przy studni, całkiem już goły, czyścił buciory. Rył patykiem w pofalowanej podeszwie.
Wieczorem Jagoda przysłała wiadomość, wszystko ogarnia. Dorzuciła dwa rzędy emotikonów: złamane serca, płaczące buźki.
Nie odpisałam.

Przysiadłam na schodach.
Ojca u nas pochować byłoby ładniej. Tam z mamą, ale cmentarz ogrodzony jak hurtownia.
Roch podszedł do mnie, blisko.
Masz procha od Rocha.
Rozwarł garść, tabletka mała, paproch.
Przełknęłam bez popicia.
Też bym chciał tak skończyć. Bez żadnych odleżyn. Po prostu wyrżnąć gdzieś po pijaku.
Ojciec nie był pijany.
Nieważne. Liczy się cel. Przywalił w drzewo i nie ma co zbierać.
Podał mi rękę, podciągnął do pionu.
Poszliśmy do łóżka. Ziut już spał. Rozkraczony na dwie osoby. Uczuł, że się pokładamy, odwrócił się, pokulił.
Roch trochę mnie całował po włosach, oddech miał kwaśny, niemrawy. Wreszcie zachrapał.
Nie mogłam zasnąć. Proch mocno nie działał. Ale leżałam wreszcie odłączona od prądu, bez żadnych myśli.
Wstałam wcześniej niż koguty.

Droga była pokryta strupem…

Droga była pokryta strupem.
Przez noc piach nie przeżarł całej krwi. Ptaki ją skubały, przysiadały na moment. Jeden, z tych większych, nastroszył się nad skrzepem. Nalatałam się, nie dał się przepędzić, skakał i dziobał dalej, nielot pierdolony.
Przy drzewie paliły się dwa znicze. Bukiet w mętnym słoju po ogórach. Nie wiem, kto tu był i łąkę z kwiatów obskubał. Ojca nikt we wsi nie znał, a do nas słabo i kto zachodzi.
Wróciłam do domu, obudziłam Rocha, Ziuta.
Roch zrobił kawę. Piliśmy niemrawo, z jednego kubka.
Potem siedzieliśmy.
— Zapraszam na gin o'clock, powiedział Roch.
Przenieśliśmy się do pokoju klubowego.
Roch nalał.
— Kupię ci nowy motor, powiedział. Na takie rzeczy mam odłożone.
— Ja nie będę już jeździć na motorze.
Roześmiali się, wyszłam.
— Szybciej, bo rzeka odpłynie, krzyknął Roch.

Pływałam pół nocy…

Pływałam pół nocy.
Rzeka to tylko się tu udała. Jeszcze kilometr, dwa, za zakrętem to już nie jest ta woda. Im bliżej miasta, tym większa szczyna.
Roch przyszedł po mnie z latarką, wreszcie się ruszył za bramę.
Widziałam go, wolno schodził ze zbocza, krok za krokiem. Zawsze był łamagą. Z lepszych rzeczy miał łeb do interesów.
Przysiadał na zwalonym drzewie, bawił się światłem.
Naczekał się, aż wyjdę z wody. Muszę wyrobić plan. Pływam od brzegu do brzegu. Rzeka coraz węższa, co rok narzucam więcej nawrotów.
Chwilę postałam. Patrzył na mnie.
Wracałam truchtem. Roch za mną, powoli, nie nadążał. Przystawałam, czekałam na niego. Od księżyca pokazało się światło, wszystko sine na moment i pyk, pyknął większy mrok.
Objęłam Rocha za szyję, narzucić moje tempo. Długo nie uszliśmy, zasapał się. On już nie pasuje mi do pary. Tyle że kondycję do łóżkowych rozjazdów jeszcze czasem ma.
W domu zobaczyłam, zrobił nam kolację, elegancką, z obrusem.
Zjemy trochę, powiedział, śmignął kelnerskim ruchem w kierunku zachęty.
Talerze rozstawione dla dwojga, szklanki i noże trzymają się razem.
Nalał sobie pigwy, jeszcze na stojąco. Huknął na psy, odprawił je na dwór. Słyszałam, jak z nimi gada, gdzieś koło szopy, już po dobroci.
Wrócił luźniejszym krokiem. Kilka razy poprawił włosy za uchem. Podsunął sobie krzesło na szczycie, zasiadł z rozstawionymi kolanami, szurnął. Wysunął język, kroił ser jak tort.
Wzięłam tylko trochę chleba, poszłam do sypialni. Wczoraj spałam na trawie między pigwami, chłodniej, ale rano kury są zbójeckie. Wykolą mi oko.
Ziut śpi zawsze w łóżku.
Chwilę na niego patrzyłam. Potem przelazłam ponad tym cielskiem, pokrzywionym i wielkim.

Położyłam się przy ścianie, szybko zasnęłam. Tu są dobre noce do spania. Zasypia się bez pełnej przyjemności z ucieczki, ale za to kilka razy. Mamy czujne psy, stado drze mordę w kilku seriach do świtu. Od jazgotu budzimy się wszyscy.

Ktoś tu łazi po nocach, powtarza Ziut.

To diabeł, podpuszcza go Roch. Gdzieś tu jest, kurwa, kosmate diablisko.

Na diabła psy by nie szczekały.

Ja te psy karmię i wiem, uparł się Roch. To psy na diabła.

Fechtują się pustymi gadkami. Szczękają zębami, jak szkłem do toastu.

Tak, Ziutuniu, gdzieś jest mocarne diable, powtarza poważnie Roch. Jak tu pierwszy raz przyjechałem, od razu tego skurwysyna czorta poczułem.

Ktoś łazi po nocach, przyklepał Ziut, prawie spał.

Roch nic już nie mówił. Płytko oddychał. Nagle założył mi nogę na biodro. Odwinęłam się, ugryzłam go w szyję, mocno, jakby zatrzasnęła go żelazna paść. Zaśmiał się.

Ziut włożył ubranie ojca…

Ziut włożył ubranie ojca. Obrócił się dwa razy, zapytał:

Nadaje się to?

Roch skasował go wzrokiem:

Tak jedziesz? Na pogrzeb w ubraniu nieboszczyka.

A co, widać? Zdenerwował się Ziut.

Nie za krótkie te spodnie? Zapytałam.

W trumnie nie leżę. Nikt nawet nie zgapi. A i nawet, pomyślą, że teraz taka moda. Jak spodnie zagraniczne i mało noszone, to mogą być za krótkie. Zygmunt miał drogie rzeczy. I bez metki widać. Na dziada nie wyglądam, co?

Ziut, masz ładne łydki, wielkie jak maczuga, ocenił Roch. Ale marynarka jak od komunii.

O co ci chodzi? Warknął Ziut.

Maleńka na tobie. Bardzo maleńka.

Ale rękami ruszam, zademonstrował Ziut.

Roch podszedł do Ziuta, poprawił mu ubranie. Pogładził, poklepał po plecach. Dał całusa.

Nie za ciepła? Podpytał z uśmiechem.

Najwyżej się zgrzeję. Psiknę więcej dezodorantem. Wolę być spocony, ale elegancki.

Ziut popatrzył na Rocha:

A co, źle mi?

Ładnemu we wszystkim ładnie, odezwał się Roch, w powadze.

Gładził się po twarzy, zamyślił się. Urosła mu broda, twarda, szarosiwa, jak oblodzona zaspa.

Nie lubię tej brody, powiedział Ziut. Drapiesz.

Roch popatrzył na mnie.

Ja drapię? Potwierdzasz? Zapytał.

Nic nie mówiłam.

Bardzo drapiesz, odezwał się Ziut.

Roch pochodził od okna do drzwi, spokojnym, luźnym krokiem. Zatrzymał się przed Ziutem.

Nie będę się golił, uznał.

Wyglądasz jak kozioł. Cep, splunął tym słowem, dwa razy, na wesoło.

Roch zrobił grymas, jakby mu w ząb co weszło. Teraz to jego uśmiech.

Brodę zgolę, ale na pogrzeb nie jadę, obwieścił.

Od nas pojedzie delegacja, zadecydowałam. Ja i Ziut. Prześpimy się u małej i wracamy.

Roch poprawił włosy.

Zostanę na gospodarce. Ktoś musi.

To jak? Popatrzyłam na Ziuta. Będziesz w tym jechał?

Kiwnął głową, potwierdził.

Zdjął spodnie, marynarkę.

Zygmunt miał dobry gust. Trzeba to tylko przewietrzyć.

Powiedział, wyszedł z domu.

Przez otwarte drzwi widziałam, zatrzymał się w pół schodów. Powąchał ubranie, szybko i gwałtownie, jak pies śledczy czy jasnowidz. Potem zszedł na trawę, przez moment szarpał się z nogawkami, podszedł do płotu, rozłożył garnitur na deskach, w pełnym słońcu.

Ta pepita za bardzo daje po oczach, ocenił Roch. Wyglądał jak klaun. Ale w mieście to się właśnie podoba.

Spojrzał na mnie.

Będziesz płakała?

No nic, ojciec był stary, zamruczałam w jakimś nagłym rozżaleniu.

Był stary, co chcesz.

To ci, kurwa, pociecha, rzuciłam, poszłam coś zjeść.

Wstałam…

Wstałam, jak się tylko trochę błysnęło.
Roch był już na nogach. Gotował żarcie dla psów.
Zeszłam nad rzekę, popływałam. Zrobiłam szybki trening. Niedospana, od tego forma słabsza.
I do domu.
Umyłam się. Polazłam po drabinie na strych. Ubrania wiszą na drągach jak kostiumy. To moja szafa. Nie mam dużo strojów. Chodzę w dresach. Piersi opadły, a z obwodu nie zeszły, swoje ważą. A że figura-lizak, muszę kupować dwa rozmiary. Mniejszy na dół, największy na górę.
Z innych ubrań nic nowego nie mam. Dawne zestawy wystarczą. Wejdę we wszystko. Ani nie tyję, ani nie schodzę z wagi. Co tam jest, guzik czy suwak, i teraz zapnie się, do końca dojedzie.
Czarny dres, czarny gwizdek na szyję. Taki miałam pomysł na pogrzeb. Ale ojciec lubił kolory. Czerń tylko do togi.
Jedna kreacja mi podpasowała. Cienkie ramiączka, duże wcięcie na górze, dół ledwie za majtki. Bardziej rulon niż kiecka. Liczy się materiał. Kiedyś odblaskowy, z koloru za bardzo nie zszedł, satyna jarzy.
Przyłożyłam do ciała. Łatwo nie było. Ten łach za ostro prześwietla mi pamięć, wolę nic nie wspominać. Sukienka źle się kojarzy, ale dobrze leży, do figury. Tata ją lubił. Niech będzie.
Zeszłam na dół.
Szczotka, grzebień, szybki tapir. To nie te włosy co kiedyś. Były podatne, wiły się, skręcały. Co mogłam przy uszach, podniosłam widelcem. A niech wisi, jak chce. Potem szpilki do ust, węzeł i wszystko do góry. Gotowe. Upięte. Lata mijają, a fryz trzyma wysokość. To najlepszy wynik w okolicy. Mój kok to kopiec.
Jest puzderko z tuszem, suche, spękane jak pięta ojca. Splunęłam, szczoteczka ładnie poszła. I na rzęsy, na brwi.
Szminki szukałam, nie znalazłam. Uróżawiać się nie muszę, mamy tu czerstwe powietrze. Sport na świeżym powietrzu, bimber, to

wszystko też swoje robi. Blada to nie wiem, kiedy byłam.
Szarpnęłam szufladę. Wymacałam porządny gwizdek, stalowy, trenerski. Zimny. Od dotyku rozkosz po nerach skoczyła.
Przełożyłam sznurek przez szyję. Dołożyłam rzemyk z błyskawicą od córki, łańcuszek od Ziuta, wisior od Rocha, rżnięte róże w ciężkim srebrze. Był jeszcze pierścień też art déco, do kompletu. Ale tak grubych palców, jak matka Rocha, nie miałam. Założyłam i zgubiłam. Zsunął się. Gotowe. Bez tych zawieszek w podróż się nie ruszam.
Są tu jeszcze perły od cioci, krzyżyk po babci, wiszące tandety z sercami po dawnych chłopakach. Sama głupot nie kupuję. I tego nie noszę.
W lustrze dłużej się zeszło, z każdej strony postałam. Jakby nie patrzeć, już ze mnie wystaje porządna kobieta. Ugrzęzłam w wychowaniu fizycznym, ale czasem lubię ubrać się jak na podświetlone schody. Czuję zew estrady.
Kiedyś, w niedziele, urządzałam dla chłopaków prywatne występy. Roch i Ziut zawsze to lubili, chociaż kazałam sobie płacić. Mało, tylko tyle, żeby ich rozdrażnić, a potem zassać, nie puścić do rana.
Nie wiem, czemu przestaliśmy to robić. Niedziele są znowu jak niedziele.
Czasem Ziut jakieś ciasto zmajstruje. Ma przepisy, kartki z wyrywanego kalendarza, walają się wszędzie. Nic mu jeszcze dobrego nie wyszło, ale jest jadalne, bez uszczerbku na zdrowiu. Najwyżej dwa dni przytrucia.
Ja piec nie umiem. Roch gotuje.
Muszę pilnować godziny. Mamy tu jeden pociąg.
Ziut umyty, ubrany. W wersji wyjazdowej wydawał się młodszy, bardziej spięty.
Roch go za bardzo na bok przeczesał. Poprawiłam.
Kazałam sprawdzić, czy piersiówka nie przecieka. Nie chcę jechać o suchym pysku.
Dzień w dzień, planowo i sportowo, nawadniam się izotonikiem, domowa produkcja. Rano Roch mi zawsze flaszki szykuje. Woda, miód i sól. Woda ze studni, miód od naszych pszczół.
Bimbru dużo nie piję. Mogę pić, mogę nie pić. Ale kiedy się kobiecie trafia podróż na okoliczność śmierci, wszystkie proporcje się luzują.

To taka meta, na samym izotoniku się nie dociągnie. Nie ma mowy.
Potem zjedliśmy śniadanie, wszyscy troje przy jednym stole.
Roch zrobił nam kanapki i kawę, w butelce po bimbrze.
Poradził, żebyśmy usiedli przed podróżą, bo to przynosi piekielne szczęście.
Usiadł z nami.
Po dłuższej chwili uczciwie dodał, nie wie, czy jak się jedzie na pogrzeb z rodziny, ta zasada działa.
Nie mogliśmy się podnieść. Ani nic powiedzieć.
Patrzyłam na kurę na stole. Gościła się po naszym śniadaniu. Grzebała w czym popadnie.
W drogę. Czas ojca żegnać.
Na koniec przy bramie wycałowaliśmy się wszyscy troje. Z językami, na mokro. Do tego byliśmy zdolni, cała trójka w tym dobra.
Ruszyliśmy. Ja przodem, Ziut za mną. Najpierw drogą przy płocie. Potem polem, w stronę lasu.
Dobrze się szło, ziemia marna. Od dawna nic tu nie rośnie. Wszędzie nieużytki. Tak się nam podoba. Z każdego okna widok, jak chcemy.
Na szczęście do rolnictwa drygu nam brak, a w dzierżawę nikomu nie damy. Nie będzie nam kombajn młócił przy uchu. Ciężkich maszyn nie lubię.

Założę się, że filozof za nami wygląda, powiedział Ziut. Obejrzyjmy się.

Zgoda. Na raz, dwa, trzy.

Odmachnęliśmy się.
Tak było. Roch patrzył za nami. Tylko czekał, aż się odwrócimy.
Chyba machał nam pukawką, nie byłam pewna, ale prawa ręka wyglądała na dłuższą.
Zaczął podskakiwać. Chciał nas rozbawić. Nigdy tego nie umiał.

Szliśmy z Ziutem przez las…

Szliśmy z Ziutem przez las. Wyglądało, jakby wilczyca prowadziła Czerwonego Kapturka.
Ubrał się Ziut jak na zwiedzanie miasta. A na wycieczkę nie jedziemy. Uparł się na ten garnitur – wełniany, marynara w czerwoną pepitę, do trefnego kompletu z bordo kaszkietem.
Ojciec to był mecenas, na odzież się nie przekładało. A lubił coś sobie kupić. Pewnie dlatego, że miał łatwy dostęp do kobiet, robił w alimentach i chciał wyglądać.
Zostawił u nas dużo łachów na strychu, zawsze przyjeżdżał za grubo ubrany.
W domu miał trzy szafy tylko dla siebie, a każda jak garderoba w teatrze dla dzieci. Takie kolory, fasony. Ziut nie jest całkiem w rozmiarze ojca, więc wygląda na teatr amatorski.
Z oddali, przez drzewa, zobaczyłam rzekę.
Przystanęłam. Las poznasz, rzeka nie da się blisko podejść.
I już zatęskniłam za Rochem. Już by się tu ze mną droczył, że ta rzeka to nie jest rzeka pierwszej wody.
Ziut czyta w moich myślach.
Powiedział:

Gdyby w korycie płynął spirytus, Roch nauczyłby się pływać.

W drogę, popędziłam nas.

Motoru nie ma, na pociąg trzeba iść. Do miasta jechać. W mieście dawno nie byłam.
Miasto rzuciłam. Jak parszywego kochanka. Okrutnie, bez zapowiedzi. Wszystkie mosty spaliłam. Ale czasem dostaje się taką wiadomość, że trzeba wrócić. Nie da się powrotu odłożyć, przełożyć czy udać, że wiadomość nie dotarła. I po spalonych mostach się wraca.
Tak i teraz. Jagoda zadzwoniła, datę podała.
To taka data, że trudno dyskutować. Trzeba się było szykować.
Weszliśmy w stary las. Cieplizna, wszystko paruje.

Nie mogę narzucić tempa. Ziut przystaje na oddech. Udaje, że igliwie wącha. A nigdy nie był za przyrodą.
Podpatruję go innym okiem niż w domu. Nie jest rączy jak kiedyś. Klepię go po plecach, nic szybciej nie rusza. Człapie, jak człapał.
A drugiego pociągu nie będzie. Tu jest taka okolica, jeden skład wystarczy. I tak dobrze, że tory położyli.
Sama to bym się puściła galopem. Dobrze biegam, nawet jak w sercu ciężko. A jakby był motor, byśmy motorem do miasta śmignęli.
Ziut lubi się mojego brzucha trzymać. Długo by się jechało, ale elegancko. Ze dwa postoje na jedzenie, osiem na odlanie. Ziut jak Roch, już też tak nie trzyma.
Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Pociąg jakby na nas czekał.
Tu jest jeden peron, co bardzo ułatwia życie.
Buty mnie piły, dawno niechodzone. Tu się nie da na szczudłach, pofalowanie terenu nie pozwala.
Odpięłam sprzączki, stopa czerwona, jakbym w juchę wdepnęła.
Wagon odpychający, schody strome, musiałam zrolować sukienkę do pasa. A peron to nie górka. Jeden but w garści, w drugim sprzączka luźna. Lokomotywa wyje, że rusza, ledwo wsiadłam. Ziut za tyłek mnie popchnął. Dawno jego ręka nie była w tych okolicach.
Potem go podciągnęłam. Skrzywił się, jęczał. Dał radę.
Poszliśmy coś sobie poszukać.
Zleźliśmy pół składu. Wszystkie chłopy w letargu, rozrzucone nogi.
Co wolne, to mi się nie podoba. Ale co pociąg winny. Mam zszargane nerwy. A tu ani motoru, ani ojca. Porobiło się.
Wreszcie coś znalazłam. Jest dla nas miejscówka.
Wyjęłam bluzę od dresu. Potem piersiówkę umocowałam w staniku, kopnęłam torbę pod siedzenie. Ziut schylił się, ładnie ją ułożył. Jak głowę spod siedzenia wyjął, to był od razu inny chłopak. Przypomniała mu się robota pod zlewem.
Teraz już go do awarii nie wołają. Od tego zapadł się w sobie. Ale nie skarży się, nie przecieka.
Pociąg szarpnął. Tak na pół koła. Zaraz się zatrzymał.

Pociąg nie mógł ruszyć…

Pociąg nie mógł ruszyć, wyjęłam piersiówkę.
Ciepła od cyca, tak samo kształtna, a jeszcze dla pełnej urody rżnięta w emblemat „Polski Związek Lekkiej Atletyki”. Na górze był orzeł w koronie, całkiem się wytarł. Ptaka i rangi dawno nie widać, ale to nadal cacko.
Przekręciłam nakrętkę. Naparstek się zaryglował. Trochę czasu się z nim mocowałam, gdyby pociąg jechał, byłaby następna stacja. Siłowo nie dało rady, a przecież z racji zawodu niechętnie wykonywanego mój ucisk jest definitywny.
Jasny gwint. Chciałam podważyć zębami, ale już się mi wszystko w gębie luzuje.
W końcu nie wiem jak, nacisnęłam, klapeczka obróciła się z gracją, jak na baletowych paluszkach, i ruchem kręconym uniosła się, a na sam finał odchyliła się do całkowitego obnażenia. Taki twist, że pić się chce.
Schyliłam się do eleganckiej degustacji, a tu pociąg szarpnął, odskoczył i znowu stanął.
Za oknem nic się nie zmieniło. Ciągle ta ławka, mętny szalet przy dworcu, mundurowy wystruniony do moczu czy do salutu.
Wypiłam łyk, mały i pierwszy. Potem drugi i tylko trzeci.
Ojciec zawsze niski, potem krępy, szybko łysy.
Matka wołała na niego: Picasso.
Reagował, ale wypominał, ten pacykarz mu nie pasuje, imię niweczy moje adwokackie esprit.
Prowadzili dom zamknięty. Było hucznie, jak wygrał sprawę, wyrwał mocarne alimenty.
Nigdy nie tańczył. Wolał siedzieć w pozycji jawnej pogardy dla parkietu, sączył gin z lodem, z miną zapowiadającą torsje dnia następnego. Gwałtowne, uporczywe.
Pamiętam imieniny, kuzynkę mamy, po kielichu, w bursztynach, bordo lakierkach.
Podlazła do ojca z rączkami jak do nabożeństwa:

Zygmunt, masz glacę jak Mussolini.
Ojciec porzucił przekonania i wziął ją do tańca. Tańczyli za ściśle. Nie mogli się puścić. Wszyscy na nich patrzyli.
Drugi raz jej nie widziałam.
Tych przyjęć wiele nie było. W dni wolne rodzice siedzieli w domu, nie rozmawiając zbyt często. Dużo czytali.
Nie wiem, czy te same książki, matka je przynosiła. Ojciec przychodził z pustymi rękami. Na powitanie łapał mnie i podrzucał.
Pamiętasz, tato?
Zwykle łapałem, mruknął.
Po pracy się nie odzywał. Przemykał z gabinetu do kuchni. Jak sublokator.
Wieczorem czytał mi bajki, szybko chrapał.
Kazał wiązać kokardy i byłam na każdym pogrzebie w palestrze. Nie chciałam, płakałam. Od tego zawsze brali mnie za sierotę, wnuczkę, sadzali w pierwszym rzędzie.
Ojciec nauczył mnie siedzieć prosto. Nie garbić się nad trumną.
Nie zapowiadał ani przyjazdu, ani wyjazdu.
Od świtu buszował w sadzie, w kurniku.
O tym, że wraca do domu, mówił dopiero, jak szukał toreb, by się zapakować.
Nie zostaniesz na dłużej? Pytałam z grzeczności.
Oddalam pytanie, wyrzekał na smutno.
Odwoziłam ojca na pociąg.
Lubił jeździć ze mną na motorze. Nawet jak pruliśmy slalomem przez las, krzycząc jak opętani. Za mój brzuch coraz słabiej się trzymał. Opadał z sił.
Zaparkowałam przed dworcem.
Zszedł z motoru. Odetchnął.
Chwilę staliśmy obok siebie.
Odszedł, posnuł się po peronie, zajrzał na dworzec.
Wrócił podminowany złością:
Gdybym wiedział, że zrobię wsiuchę, nie rwałbym się tak do prokreacji.
Chciałam dać ojcu w pysk, pocałowałam go w czoło, a wtedy mnie odepchnął. Niespodziewanie dla siebie samego. Przestraszył się.

To nic takiego, zwykły reisefieber, wycedził w drwiącym uśmiechu.

A gdzie czapka?

To kaszkiet, poprawił.

Poszedł szukać.

Wrócił w kaszkiecie i w spokoju.

Wyjął telefon, poprzymierzał się do selfie, schował komórkę.

Spojrzał na mnie, ocenił:

Okolica paskudna. Nawet jednego zdjęcia nie chce się zrobić z tym terenem w tle.

Ledwo wlazł do pociągu. Miał za dużo toreb, wyzbierał nam wszystkie jajka, jabłka.

W przedziale nie było nikogo.

Wyjął portfel, bilet, sprawdził numer. Miał miejsce przy oknie.

Ułożył bagaż na górze, kaszkiet na półce niżej. I jakby nikt go nie odprowadzał, usiadł, patrzył tępo przed siebie.

Pukałam w szybę, nic nie dało, a ojciec miał słuch jak wyżeł.

Odjechał.

Zakręciłam piersiówkę mniej przychylnie. To podróż na okoliczność pogrzebu. Rekreacyjnie nie jadę, żeby nawalić się już w eliminacjach.

Muszę dawkować. Na stacji końcowej przyda mi się mocny łeb.

Każdy zrozumie drobny moment nietrzeźwości sieroty na pogrzebie ojca. Ale najpierw trzeba dostać się na cmentarz.

Ziut nie zna miasta. Zaraz się zgubi. W mieście był dawno i krótko, z wycieczką szkolną. Chyba zobaczyć Pałac Kultury. Pewności nie mam. A Ziut nie lubi ani mówić, ani wracać do przeszłości. Takie stanowisko w miłości i w innym pożyciu to się bardzo przydaje.

Wagon bez przedziałów, bonanza. Pustawo, niestety ludzi widać. Sama oklepana uroda. Jeszcze dobrze nie ujechaliśmy, a zbrzydło mi tu wszystko.

Popatrzyłam na piersiówkę. Z mety dała się otworzyć, wlałam w siebie.

Można by dużo dobrego powiedzieć o piersiówkach, ale niestety to nie są cysterny.

Ziut źle się czuje. Wygląda, jakby jechał do lekarza. Pokazałam mu buteleczkę.

Chcesz smoczka?

Odmówił, ledwo rusza głową. Za stary na wyprawy. Powinnam go zostawić z Rochem.

Odbicie w szybie, cudze domy, chlewy, stodoły, lasy i rzeki, żadnych rozmów, wymiana spojrzeń.

Pociąg wjechał na plażę i obudziłam się. To nie był dobry sen. Staliśmy w polu, na szczere nie wyglądało.

Ziut nie spał. Chyba spodnie go piły. Strasznie zszedł z urody.

Mrugnęłam do niego, nawet powieka mu nie drgnęła. Nochal w wągrach. Z rzeczy ładnych zostały mu kłapciaste uszy, lubię je ssać. Chrupią lepiej niż czipsy.

Zapytałam Ziuta, jak się czuje.

Nie odpowiedział.

Pytania nie będę ponawiać. Ostatecznie jedziemy na pogrzeb z mojej rodziny, on powinien mnie o to zagajać.

Suchy prowiant szybko poszedł.

Wyjęłam piersiówkę. Jeden gorzki gwint. Samotność w pociągu jeszcze się jakoś udaje.

Na dworcu czekała na nas Jagoda…

Na dworcu czekała na nas Jagoda.
Mogła zadzwonić, że przyjedzie. W tej rodzinie nikt się nie zapowiada.
Na żywo dawno jej nie widziałam, tylko co niedziela przez telefon.
Dziwnie się ubrała, w garnitur i stoi na baczność. Czeka na nas jak chińska delegacja sprzętu zbrojeniowego.
Ma duży samochód, ciemny, wygląda na karawan. Z boku nazwa: „Osuszanie fundamentów”.
Ziut ją podpytywał o firmę.
Odpowiedziała krótko, dobrze mi idzie.
Jechaliśmy szybko.
Zapytałam, czy prowadzi na grzybie?
Nawet się nie uśmiechnęła.
Ale jak obiecała, tak zorganizowała. Pogrzeb ojca był mały. W odwecie za pogrzeb mamy.
Nie lubiła przyjęć. Ojciec odprawił jej huczne ostatnie pożegnanie.
Kumple ojca zrobili sobie na stypie spotkanie towarzyskie po latach. Za dużo ludzi, za dużo na stronie szeptania.
Palestra – same płotki, stare i niemrawe, śnięte płyną już tylko z prądem. Żarłacze brzuchomówcy w pierwszym rzędzie przy obcej trumnie. Żadnego bystrego narybku. Żadnego rekina.
Nikogo nie znałam. Tylko jednego, kiedyś do nas przychodził, potem był w telewizji. Mecenas, co nosił teczkę za gangsterem.
Nie mogłam się z mamą pożegnać. Wieńce, przemówienia.
W mowie końcowej zrobili z niej żonę. A to była prawniczka, samotna wilczyca. Tyle razy co ją wyrzucali z pracy. Miała nosa na krzywdę, zaraz coś wyniuchała. Nic nigdy pod dywan nie zamiotła.
Szukali na nią haków. Nie znaleźli. Ale się spóźniała, to zawsze im wystarczyło.
Skończyła jako kelnerka w bibliotece narodowej, przywoziła książki na wózku. Nawet nie dociągnęła do emerytury, za rok pyknęła. Bez męki do piachu. Nagły zgon sercowy.

Mama miała do mnie powracające zażalenie, że nie zadaję sobie ważnych pytań.
Z pogrzebu ojca dużo nie pamiętam. Tyle że posadzili mnie na krześle obok cioci.
Rena, siostra ojca, kochała go. Na pogrzebie naćpana do mętnego uśmiechu. Cały czas poruszała ręką, jakby kierowała ruchem.
Jej córki i córki jej córek, wszystko o urodzie bez fanfar, bardziej kościelnej, w kreacjach w stylu „wdzięczne za Twe hojne dary", też coś wzięły. Mniej, bo bez uśmiechu, ale ten sam ruch ręką, bardziej rozproszony.
Ciocia mocno się skropiła, perfumy jak eter, całkiem posnęłam.
Jagoda nakręciła rolki z pogrzebu, oglądałam w restauracji.
Na stypie ojca nie dość, że wino, to jeszcze w mocno ograniczonych ilościach. Jak by nie patrzeć, to nie kinderbal. Ten, kto układał menu, pewnie należy do Stowarzyszenia Rodzin Abstynenckich, a nawet jedna gałązka z naszego drzewa genealogicznego nigdy się nie stowarzyszała w tym kierunku.
My tu w rozpaczy i jedna butelka na całą rodzinę.
Można było dokupić wino z wystawy nad ladą z ciastkami, za ciężkie pieniądze. No aż tak z żalu nas nie przegięło. Daliśmy radę i bez tego.
Jagoda usadziła mnie obok cioci Reny. I ona zauważyła pewien brak dosytu w menu. Nalała sobie mineralnej, orzekła:

Nie nazywajmy tego stypą. To podwieczorek funeralny. Dobrze, że z paluszkami w szklankach nie wyskoczyli.

Zadzwonił telefon. Brat ojca, chirurg plastyczny ze specjalnością waginalną.
Powiedziałam, że już po.

Zapłaciłem i widziałem. Wszystko OK.

Miał wykupione oglądanie pożegnania w internecie.
Rozłączyłam się, odrzucałam połączenia.

Kto tak wydzwania? Wnerwił się Ziut. Powiedz, że masz pogrzeb i stoisz nad grobem.

To Johnny. Płacze.

Akurat. Siedzi w Ameryce i płacze? W żaden amerykański płacz nie wierzę. Powiedz, żeby dał nam spokój. Niech ceruje stare cipy.

Po chwili dostałam wiadomość. Żeby wysłać mu filmik z kwiatami, które opłacił.
„Znajdziesz je łatwo, większych nie ma. Widać, że za dolary. Wiązanka Black Beauty”.
Odpisałam, jesteśmy w restauracji.
Potem go zablokowałam, dobijał się jak żywcem zakopany.
Zadzwoniłam do Rocha. Zgrabnie odpowiadał, o psach.
Ciotka podsłuchiwała, kiwając głową.
Przysiadł się kuzyn, schowałam telefon.
Rozgadał się w wyrazach ubolewania. Kondolencje trwały dłużej niż spuszczenie urny.
Skończ już.
Zatkał się, zbladł. Wreszcie się życia bardziej chwycił.
Lidzia, zaczął, skłonił się do szeptu.
Jaka Lidzia? Co za Lidzia? Przycięłam go.
Pokiwał głową.
Przychylił mi szklankę z paluszkami. Chrupaliśmy bez słowa. Wszystko poszło.
Poprawił się na krześle, przystąpił do aktualizacji:
Rozwiodłem się. Twój ojciec dopomógł. Nasłał mi kolegę adwokata. A i tak bolało. Wynajmuję amfiladę po mamie, mieszkam u partnerki. Byliśmy w kryzysie, jesteśmy w terapii.
A co u Kariny?
Kupiła amfilady na wynajem. Skacze z jednego samolotu w drugi. Klasyczna córa tatusia. Ma to po mnie. Gdyż ja, cóż, żyję w tradycji pikarejskiej. Jestem w ruchu. Tułam się po mieście, co widzę, zapisuję. Trudno być flâneurem we własnym mieście. Ale trud wędrówki, a i wyzwanie literackie podejmuję.
Wyczuł chłód od sieroty, więc zamilkł, a potem tylko podpytał:
Czy kury się niosą?
Mam więcej jaj niż ty, wyrzekłam.
Uśmiechnął się wąsko i wyszedł.
Mało co kto jadł. Na szybko lokal wybrany, wszystko rozwodnione. Jakby zmrozili, a na stole wyciekło.
Na koniec tort i lura.
Poszłam szukać kelnera.
Siedział w kuchni z łbem w komórce.

Zróbcie nam kawę szatana. Jesteśmy słabi po pogrzebie.
Nawet łba nie podniósł, powiedział:
Mamy sezon ogórkowy i dziesięć procent zniżki od talerzyka na przyjęcia pogrzebowe.
To jak? Będzie ta kawa?
Uniósł głowę do informacji, że ekspres zepsuty. Tępo się uśmiechnął. Ząbki jak nóż do chleba.
Wróciłam z innym okiem.
Sala przystrojona majowo, na przyjęcia komunijne. Tylko przy lampie zawieszona czarna kokarda jak dzyndzel.
Ziut siedział sam przy stoliku. Zdjął marynarkę. Nic smutniejszego niż samotny facet jedzący torcik.
Usiadłam przy cioci.
Złożyli nam Zygmunta. Przed kremacją jeszcze do niego zajrzałam. Nie wyglądał jak po wypadku. Wyglądał jak wreszcie uzdrowiony.
A teraz czas pożegnać ojca, krzyknęłam.
Cała sala popatrzyła na mnie.
Nie zrobiłam tego na cmentarzu. Nigdy tam nie chodził. W rodzinie nie było grobów, były zbiorowe memoriały. Ojciec nic nie czcił, mam to po nim.
W Zaduszki leżał jak nieżywy, udawał, że śpi.
Poprawiłam kok, wygładziłam sukienkę. W szczudłach weszłam na krzesło, z krzesła na stolik. Kultura fizyczna zawsze się przydaje.
Potem, dla większego oddechu, stanęłam w rozkroku między brudnym fajansem i szkłem.
Stałam na stole i śpiewałam, bez jednego fałszu.
Ciocia nie mogła słuchać. To kobieta urodzona w perłach i norkach, mój repertuar z tym koliduje.
Złapała mnie za sukienkę, ściągała ze stołu. Nie dało się rozpędzić w utwór.
Małe chuchro, uścisk żelazny. Tak mnie capnęła, nie mogłam wyrwać się do zwrotki. Cały czas śpiewałam to samo. Złapała mnie w refren.
Nagle środek ciężkości przesunął mi się. Długo traciłam równowagę, i ją straciłam. Spadłam. Spadłam na kotkę. Umiem spadać na cztery łapy.

W łazience doszłam do siebie. Ja na klapie, Jagoda mnie myła. Mokry papier do dupy na twarz.
Potem jeszcze siedziałam. Jak w szatni po przegranych zawodach. Śmierć to jest, kurwa, przegrana olimpiada.
Nagle pyknęła komórka. Wiadomość.

Dziecko, zobacz, kto to, poprosiłam Jagodę.

Wzięła komórkę. Czytała:

Jako dyrektor z prawdziwym smutkiem i niedowierzaniem przyjąłem informację o śmierci drogiego mecenasa. Ciężko mi oswoić się z myślą, że już nigdy nie będę mógł spotkać na drodze drogiego mecenasa i zamienić z nim paru słów powitania, a następnie i pożegnania. Wiadomość o odejściu mecenasa wstrząsnęła dyrekcją w mojej osobie, gronem pedagogicznym i uczniami. Zjednoczeni w cierpieniu, nie potrafimy znaleźć słów pocieszenia wobec tragedii, jaka dotknęła naszą koleżankę. Mamy nadzieję, że wiara oraz wsparcie życzliwych osób pomoże przebrnąć przez ten trudny okres i mimo przeszywającego serce bólu poradzi sobie z tą trudną sytuacją. Pamiętając, że cząstka naszych bliskich pozostaje zamknięta we wspomnieniach oraz w nas samych. Choć nie możemy pojawić się osobiście na pogrzebie, prosimy o przyjęcie wieńca jako symbolu naszej sympatii i oddania. Róża jako symbol wieńca czeka na Ciebie w Twojej ukochanej sali gimnastycznej. Na koniec pozostaje mi jedynie zapewnić o wsparciu w modlitwie. Dyrektor z gronem pedagogicznym.

Jagoda oddała mi komórkę.

To wszystko, mamo.

Kelner robił sobie selfie z ciocią…

Kelner robił sobie selfie z ciocią. Wyglądała na dziedziczkę fortuny i cóż, że naćpaną.
Opędziła się od obsługi, krzyknęła na mnie:
— Słońce. Chodź tu.
Przysiadłam się.
— Ledwo żyjesz.
— Bo tata mi umarł.
Trzasnęła biglem, otworzyła torebkę z węża i dała, co sierocie potrzeba. To taki dzień, człowiek wszystko przełknie.
— Mam tego całą hurtownię, wciskała mi zgrzewkę.
Nie chciałam. Zapytałam, co za perfumy.
Oburzyła się:
— Zawsze Pani Walewska.
Potem mówiła o bracie. Zygmunt to, Zygmunt tamto.
Przerwałam jej. O ojcu nie mogłam słuchać. Chciało mi się pływać.
Trochę cioci przypomniałam dawną formę.
Nie wiedziała, o czym mówię. Nie potrafiła odpowiedzieć na proste pytanie, czy nadal robi pełny szpagat.
— To ja robiłam szpagat?
Długo nad czymś myślała. Nur w przeszłość, z dziurawą butlą tlenową.
Co jakiś czas podrzucała językiem szczękę. To nie były zęby na ubezpieczenie. Wuj jej obstalował zacisk filmowy, z połyskiem w macie. Identyczny garnitur miał ojciec. Nosili się z ciocią jak bliźnięta.
Ojciec kierował życiem siostry z drugiego siedzenia. Mapa drogowa była prosta – groźby karalne. Usłyszał o białych kozaczkach i ruszył z kancelarii do gabinetu.
Na fotel nie usiadł, był tam pacjent, rozdziawił się już w progu, tylko na parę zdań:
— Jeremi, pierdol się dalej, a skończę twoje matrymonium. Wyjdziesz z domu na golasa. Z całego gabinetu zostanie ci tylko

wiertło w dupie.
Ciocia pochowała wuja, a wcześniej jego pieniądze, podobno w kilku bankach.

Zapomniałam, o co pytałaś.

O szpagat, ciociu.

W końcu wyrzekła:

Wszystko przez te leki. Lepsze niż diamenty. Wystarczy raz się z nimi zadać i mózg już ci tak ostro nie śmiga jak dawniej. Co bardzo sobie chwalę, bo nic, nikogo i niczego nie chcę i nie zamierzam pamiętać. Na jakiego grzyba pamięć. À propos, mam portret Zygmusia w naszym majątku.

Nie mieliśmy majątku.

A od czego są antykwariaty. Nabyłam fotografię. Mały szlachciurek. Chłopczyk jak Zygmuś. Uroczy kadr. Dworek, bryczka, konik, guwernantka i dziecię Zygmuś. Przyjedź, dawno u mnie nie byłaś.

Skłamałam, że ją odwiedzę.

Ciotka Rena, ona jedyna, bo nie ojciec czy matka, chodziła na moje zawody. Byłam dziewczynką-gumą. Klasa juniorów. Rodzice na żadne zawody nie przyszli. Kilka razy, spóźnieni, i to ich fałszywe zainteresowanie na mordach.

Ciocia Rena woziła mnie na treningi. Była szoferką, a ja jej trenerką. Nauczyłam ciocię, jak się rozciągnąć do szpagatu. Bardzo tego potrzebowała, bo wuj już na nią nie patrzył.

Odkryła, że kupił białe kozaczki pomocy dentystycznej. Brzydszej od cioci, ale grubszej w częściach przydatnych do rozrodu.

Był strach, że pomoc złapie na dziecko. Wuj głupi jak but, znał się tylko na borowaniu.

Ziut stał koło nas, skakał, na dwa palce. Kondycja przed udarem. Wypierał się, ale to on wypił całe wino.

Poszłam schłodzić sobie twarz. Piersiówki są przebiegłe.

Kiedy wyszłam, puścili *Boléro,* ciocia spała.

Przysiadłam się do kuzynki. Zdjęła buty, stopy szerokie, płetwy.

Jak życie? Zapytałam.

Tylko kiwnęła głową. Kupowała łachy przez internet.

Szkoda, że wujek umarł. Kochał ludzi, powiedziała, klikając w sweterek.

Nie wiem, co ojciec w ludziach widział.
Najpierw kliknęła bluzkę, potem powiedziała:
Ja też nie. Ale wujek kochał ludzi i ubrania. Miał starą komórkę i problemy z aplikacją.
Aha, powiedziałam.
Nawet na mnie nie spojrzała. Poprawiła chustę, śliską Chanel, zawiązaną pod brodą na modę pańszczyźnianą.
Jagoda siedziała przy stoliku z Konstantym i Aniutą. To jej chłopak, kolejny, i wierna przyjaciółka.
Byli u nas. Bali się wody ze studni i bimbru. Aniuta nic nie tknęła. Przywiozła pojemniki z paszą.
Przytulała się do drzew.
Raz zapytałam, czy pytała pigwę o zgodę na molestowanie.
Obraziła się. Na krótko, ale zdążyła złożyć skargę u Jagody.
Przed wyjazdem przyszła nad rzekę, by się pożegnać.
Lido, było mi dobrze. Dziękuję. Dużo nie powiem, ale czuję w sobie te soczyste słowa. Wszędzie czuje się tu uwikłanie w siłę grawitacji. Animalną, wysoko afirmatywną.
Chciała mnie objąć, czule i z troską, jak pigwę czy czeremchę, nie dałam się. Wskoczyłam do wody.
Na pogrzeb ubrali się jak greckie wdowy. Szaty luźne, czarne.
Kupili to drogie wino zza lady. Sączą, obserwują.
Podeszłam.
Lido, bardzo mi przykro z powodu kryzysu utraty, powiedział Konstanty.
Aniuta zawtórowała przegiętą miną, w tej samej tonacji.
Wzięłam butelkę i uniosłam do toastu.
R.I.P., powiedziałam i stuknęłam flaszką o ich kieliszki.
Wypiłam łyk. Była to siara.
Jagoda wstała, poszła posiedzieć z Ziutem.
Wyciągnęłam piersiówkę ze stanika, przelałam wino. Elegancko, nad talerzykiem. To, co się ulało, wypiłam. Talerz deserowy. Chłeptałam jak grzeczna kicia.
Mogę? Zapytałam po wszystkim.
Konstanty skinął głową na sztywnej szyi.
Czerwone. Niezbyt wytrawne, udzielił dodatkowej informacji.
Mi pasuje, odpowiedziałam. Ja też nie jestem wytrawna.

Zapraszamy, zachęcił Konstanty, odsunął mi krzesło.
Usiadłam i powiedziałam:
Dubel z tobą mi nie pomoże.
Uśmiechnął się i pyknął nóżkę na nóżkę:
Lido, chcę, żebyś to wiedziała. Jestem fanem twojej radykalnej żałoby. Nie jest inkluzywna, ale szalenie intymistyczna. Pobrzmiewa tożsamościową autonomią. Patrzę na ciebie i widzę, że melancholia, nawet ta mniej czysta, wydobywana głosem *vulgaris* czy nowo nabytej plebejskości, w gruncie rzeczy żongluje między płaczem a stuporem, skrajnymi ekspresjami tego samego. A śpiew na stole to powracająca klisza, a zarazem esencja.
Urwał, złachany mówieniem.
Pokiwałam głową. Zadziałało jak doping.
To ruch oporu, barbarzyński, ale impetowy, jedyny już możliwy. To wreszcie gest wojenny, a zarazem kulminacyjny, zwycięski w wymiarze egzystencjalnym. Moment *jouissance* w chwili apokalipsy.
Urwał.
Pozwolisz, że zakończę? Zaproponowałam.
Bardzo proszę, wyprostował się dla lepszego odsłuchu.
Pierdolisz jak ksiądz. Tylko ambona inna. Gadacie, a wszędzie gorzej.
Zaśmiał się, na krótko.
Aniuta nieruchoma jak urna, mała i ciemna. Smutna, nic nie mówiła.
A co u ciebie? Zapytałam.
Lubiłam Zygmunta. To wszystko. Nie mam wspomnień na dziś.
Patrzyłam na nią, długo, wreszcie powiedziałam:
Brawo, Aniuta.
Przesiadłam się. Na szczęście miałam wybór, było dużo pustych stolików.
Stał tam talerz, owalny, z wędlinami. Dawno nie jadłam. Żywimy się prosto.
Dziecko kuzynki się dosiadło. Pannica miejska, wyrosła, nie wiem, od której matki.
Ty jesteś od Izabelli?
Od Karoliny, powiedziała.

Ćwiczysz?

Pilates.

A co to jest? Konkurencja olimpijska?

Nie umiała odpowiedzieć.

Ciocia trzymała się prosto na krześle, a spała jak zabita.

Robisz szpagat?

Nie.

To się lepiej naucz. Ja ciągle robię cały szpagat. Byłam dziewczynką-gumą i ta guma nadal nie pęka. Nawet nie sparciała.

Uśmiechnęła się. Telefon jej pyknął.

Odeszła, jeszcze tylko krzyknęłam za nią:

I rzuć, kurwa, ten pilates!

Pogrążyłam się w jedzeniu wędlin. Dawno tyle nie jadłam i nie piłam, tylko pływam, uczę cudze bachory i biegam.

Rozejrzałam się. Nikogo, do kogo można gębę otworzyć. Ziut się nie liczy, na przyjęciu wyjazdowym nie będę gadała do gościa, z którym śpię przez całe życie.

W tym mieście nie da się spać…

W tym mieście nie da się spać, chodziłam całą noc.
Późnych połączeń do nas nie ma. Córka podwiozła nas do mieszkania rodziców.
Nie było tematu, by u niej zanocować. Nie zaproponowała, nie napraszałam się.
Ziut nic nie mówił, tak właśnie jest, jak się zeżre pół tortu.
Kiedy się przeprowadzasz? Zapytałam Jagodę.
Muszę wszystko odgruzować.
Chcesz tu mieszkać? Może sprzedaj?
To ładne mieszkanie i dziadek obiecał, że nie będzie straszył.
On już się w życiu nastraszył, powiedziałam.
Dziadek był okej.
Zamówiła pizzę.
Byliśmy głodni, zjedliśmy trzy wielkie koła.
Jagoda pojechała do siebie, Ziut usnął.
Włożyłam ojca buty, sztywne, a wygodne.
Wyszłam.
Dwa razy kupiłam sobie frytki. Ziemniaki na wsi inaczej smakują.
Pochodziłam po mieście. Wszystko się zmieniło. Ale dotarłam do rzeki.
Rozebrałam się. Trochę popływałam. Przyjemności w tym żadnej. Woda ciepława jak w kranie.
Potem trochę pogadałam ze strażą miejską. Uchyliłam się od mandatu.
Dostałam tylko ustne pouczenie za złe zachowanie. Nie wiem, czy chodziło o pływanie po pijaku czy na golasa. Władza kluczyła w naganie. Widok na moje cycki nie sprzyja jasności umysłu.
Wróciłam do domu. Piekły mnie stopy. Posiedziałam w wannie.
Rano Jagoda podrzuciła nas na dworzec.
Kupiła kanapki, kawę w tekturze. Nie czekała, aż pociąg odjedzie. Cały czas ktoś do niej dzwonił. Musiała iść.

Ale zdążyliśmy razem postać na peronie w zgaszonej gromadzie jak tanie znicze. Widać, że po pogrzebie.

Wysiedliśmy na naszej stacji…

Wysiedliśmy na naszej stacji.
Miałam zadzwonić do Rocha, że już jesteśmy, ale nie będę się zapowiadać.
Poszliśmy dołem. Chciałam się wykąpać, spłukać z siebie miasto.
Patrzę, ksiądz nad rzeką stoi, kamyki rzuca, puszcza kaczki.
Cofnęłam Ziuta. Pokazałam, żeby był cicho.
Trochę postałam. Dla większej rozgrzewki.
Nie mam pamięci do tych, co ich uczyłam. Za dużo tego. Na początku roku zawsze sobie nowych oglądam. Wszystko bez urody. Uczyć dzieci, cudze, brzydkie i łamagi, to gorsza i większa robota. I ja ją od wielu lat tu odwalam.
Niektórych pamiętam. Tych, co mi migają w sklepie, na stacji benzynowej. A najbardziej trzymam w sobie tych, co się zabili, jeszcze w szkole.
Jedno się utopiło, drugie powiesiło, trzecie wyżarło trutkę na szczury.
Podeszłam bliżej rzeki. Łydki mi drgały jak u wyżlicy. Zwietrzyłam księdza.
Jakby coś usłyszał, obejrzał się, w spokojnej twarzy. Wystawił mi się na krótko.
Znowu się zwrócił do rzeki.
Podeszłam najładniej, jak tylko mogłam. Blisko.
Wyrzekłam, medalik mi się odpiął, w piachu gdzieś tu leży, boję się, żeby rzeka nie zabrała.
To była długa wypowiedź, pięknie połyskiwała i się wiła.
Był zaskoczony.
Chwilę nic nie mówił. Jakby moja słodycz za jabłko Adama księdza oplotła.
Wreszcie się ocucił.
Wy nie nosicie żadnych medalików, wyszeptał, głosem zniżonym, jakby go spod kolan wydobywał, jakby ten głos stamtąd mu szedł, cienkim mrowieniem od pokuszenia.

Wy nie nosicie, poderwałam się. Jakie wy?
Nie odpowiedział, patrzył, patrzył dokładnie w to miejsce, gdzie powinien być medalik, a nigdy go tam nie było.
Jak księdzu na imię, zapytałam?
Zawstydził się. Zapomniał języka w gębie, a przecież miał go na ustach, wysunięty jak wołowy ochłap.
Nie wiem, wyrzekł tonem całkowitej niewiary.
Potem włosy oburącz do tyłu palcami przeczesał.
Ty i te twoje chłopy, wycedził cicho, w miałkliwej pobłażliwości, jakby obracał w gębie miętusa.
Moi kochankowie, Roch i Ziut, mają się świetnie, zatwierdziłam.
Spłonił się, mocno i grzesznie, do garstki prochu na grzywce.
Nie pomożesz, medalika nie poszukasz?
Jakby myśli ważył. Ale bez wysiłku, liche odważniki na szalę dostawiał, z tej i z tamtej strony.
Podrzuciłam:
Będzie strata. Rzeka go zabierze. Zgubiłam, gdzieś tu na tej podmytej skarpie, tam, przy wodzie, na mokrym piachu.
Rzeka nie morze. Fal nie ma i nic nie zabierze, powiedział bez pewności, o czym innym myślał.
Już ty się lepiej za rzekę nie wypowiadaj. Sam wiesz, z tą rzeką nic nie wiadomo.
Ja nic nie wiem, szybko się zaparł. Pewnie miał w tym praktykę.
A ta, która się tu utopiła?
Oblał się purpurą. Jak szaty biskupa.
Tu się niejeden utopił, szybko wyszeptał.
Ona dobrze pływała. Ja tu ich do rzeki na lekcję biorę. Każda łamaga, każdy, kto się wody boi, u mnie strach i ubranie rzuci w kąt i pływać się nauczy.
Zwiesił głowę. Mój widok chciał sobie odjąć.
Słyszysz mnie? Zapytałam.
Pokiwał, oczu nie podniósł.
Kogo ja nauczę pływać, ten nie utonie. Przynajmniej w tej rzece. To była wesoła dziewczyna. Z byle czego się na lekcji śmiała. Ten śmiech to po nocy budzi.
Milczał. Wiercił trawę nosem buta.
Słyszysz mnie? Głos mi skoczył.

Nic nie mówił. Łeb zwiesił, kark okazał.

Ona chciała się utopić, powiedziałam.

Nagle usłyszałam.

Pewno szatan coś jej szeptał na ucho.

A ty w konfesjonale coś szeptał?

No, gdzie ten medalik? Krzyknął.

Tam na mokrym, pokazałam.

Podszedł. Rozkraczył się na stoku, równowagę trzymać. Ślepił po nabrzeżu.

I z rozgrzeszeniem by się utopiła.

Nagle się rozgadał. Z oczami w piachu.

U mnie się wszyscy od niej spowiadają. Jej babka się powiesiła, a była to niewiasta wielkiej pobożności. Rok w rok wygrywała konkurs na najlepszą kapliczkę. Majowe od ich domu się zaczynało.

Przerwał, widać było, słów szuka, nowych, bo to nie była lektura z książeczki do nabożeństwa.

Odwrócił się. Usta zacisnął, obślinił się, ciekło mu już pewnie wszystko.

Są takie pobożne rodziny, co nie wiadomo kiedy znajdują wielkie upodobanie w grzechu śmiertelnym.

Ucichł.

Są pobożne rodziny, zaczął i przerwał.

A widzę, zdyszany, zgrzany jak po dłuższym biegu.

I w tajemnicy spowiedzi nie można im nic powiedzieć, bo mają coś z nerwami. Te nerwy łatwo puszczają.

Co jej w konfesjonale powiedziałeś?

Padł na kolana i rękami macał jak ślepiec.

To złoty czy srebrny medalik?

Zapytał na cicho, wtedy na niego skoczyłam. Jak baba-kogut. Mocno za łeb, za kudły i na dwie garście, za uszy, za kark i do rzeki.

Najpierw tylko trochę się stawiał. Krzyczał, wierzgał. Nagle, jak grom z jasnego nieba, przestał się opierać. Jakbym go ciągnęła w święconą wodę.

Może myślał, że go tylko gładko na lustrze położę.

Ale ksiądz to nie panna marzanna. Ja z księdzem żadnej wiosny świętować nie będę. To go dalej w wodę ciągnę, bokiem się ustawiłam, dla lepszego uchwytu.

Daleko w rzekę nie weszłam. Tylko tyle, żeby luźno cały łeb z karkiem pod wodę wsadzić. I go w wodę, przyklepać po plecach. Pyskiem do dna poszedł. Nogi wystawały z rzeki jak krzaki, muł żarł.
Wróciłam na brzeg, w spokoju, nawet się nie zmachałam. To była sztanga z gówna. Jeszcze takiej nie dźwigałam, dałam radę.
Z kultury poważam kulturę fizyczną.
Patrzę, człapie przez wodę. Dobrze podtopiony, smarka i płacze.
Wreszcie wylazł, rzeką się zrzygał i poszedł.
Podeszłam do Ziuta.
Co ty zrobiłaś? Wydukał.
Jak się jeszcze dobroci nie ochlał, będzie dogrywka. Ale czuję, dobrze napojony. Nawet na remis nie pójdzie.
Ksiądz pewnie, jak wszyscy w branży, chciał być w Watykanie, i tu miał jak w rajskim ogrodzie. Zaorałam tę sielankę.
Podałam Ziutowi rękę. Podniósł się. Ciężki od zmęczenia.
Wracamy do domu.
Przy bramie psy nas dopadły, skomlenie, szczekanie, jedno przez drugie.
Dzień nas nie było, a radość, jakbyśmy wrócili z emigracji.
Roch się pokazał. Spojrzał na mnie.
Kąpałaś się w łachach? Jesteś cała mokra.
Księdza topiłam.
Przecież Zygmunt miał świecki pogrzeb.
Ziut nawet się nie umył, nie przebrał po podróży. Kolebał się na swoim niskim zydlu w sieni, grzebał w torbie z narzędziami.

Po ojcu kilka dni pracowałam…

Po ojcu kilka dni pracowałam w ogrodzie. Ziemia pod paznokciami, żałoba jak po kocie.
Po śmierci matki miałam stracha na siebie patrzeć. Jak się rano oglądałam w lustrze, widziałam sine dziecko. A teraz wieczór w wieczór stawiałam się do bimbru, a potem do lustra, wyglądałam jak stara kurwa, wódą i płaczem rozgrzana.
Psy mnie stróżowały, do kuchni, do ogrodu, do łóżka.
Do rzeki zeszłam sama.
Ranek chłodny, a nagle wybuchł upał. Wir jak tornado, ścięło mnie.
Zanurzenie na gazie. Najpierw opiłam się bimbru, potem wody. Źle się wymieszało.
Nie wiem, ile to trwało. Długo, krótko. Pod wodą, nad wodą, pod wodą.
Strach mi nie wyskoczył. Zdechnąć w rzece to całkiem dobry wynik na finał.
Wydostałam się na płyciznę i dalej. Łatwo nie było.
Koryto głębokie. Skarpa się osuwa. Zwykle ładnie się czepiam, na raz i na brzeg. Teraz musiałam dobrze oddech uspokoić, żeby się podciągnąć. Zostawiłam w wodzie wszystkie siły.
Wylazłam jak stary gad. Swoje musiałam odstać. Wreszcie powoli powstałam z czterech łap na dwie. Zgięłam się, wycharchałam, wysmarkałam. Jeszcze nie złapałam pełnego oddechu, zobaczyłam to całe towarzystwo.
Na samym przedzie ona. Od razu ją poznałam.
Podeszła blisko, za blisko. Tak podchodzi się tylko do całowania czy bicia.
Nie odsunęłam się. Całowanie czy bicie, z jednym i z drugim sobie poradzę. Ja jestem mocna zawodniczka.
Ani do jednego, ani do drugiego się nie ruszyła. Stała i patrzyła na mnie. To i ja na nią patrzyłam.
Wszystkich, co ich uczyłam. Za długo jestem nauczycielką, żeby wszystkich trzymać w myślach. I co oni tu tacy wysportowani, żeby

ich niańczyć w pamięci.
Nie ma w nich nic. Przesiewają się jak przez dziurawe sito.
Ją akurat zapamiętałam. A z racji tego, że pożyczyłam jej pieniądze.
Nie lubię pożyczać. I nie dlatego, że muszę się potem wiele razy prosić o należny zwrot. Ja nie lubię się niczym dzielić. Nawet chłopem. To może i wada, ale nie unikat.
Na jej widok wcale się nie ucieszyłam. Wiedziałam, z niej to teraz topielica.
I po śmierci nie była rozmowna. Zaciśnięte usta. Tak samo jak wtedy, kiedy przyszła po pieniądze.
Pożyczyła na mikołaja, a przed świętami wlazła w rzekę. Długo się pożyczką nie cieszyła. Ale na żadną smutną nie wyglądała.
Ciągle bardzo młoda. Jakby śmierć niczego jej nie zabrała. Z uśmieszkiem, krzywym i nikłym, że moje ocalenie to właśnie jej sprawka. Wyrwała mnie z rzeki. Wyciągnęła na brzeg.
Pożyczyła w banknotach, oddała w naturze.
Nie wiem, jaki jest przelicznik, a byłam pewna, moje spotkanie z nią to właśnie ten przypadek spłaty należności.
Były też jej dzieci, jedno w wózku, drugie przy wózku. Je też wyłowili. Mniejsze miało pampersa, pływało jak korek, twarzą w wodzie.
Tu jest taka okolica, cuda-wianki na wodzie się nie zdarzają. Ale dziewczyny to nie są kukły. Żadnej marzanny tu nie ma. Jak się topią, to na swoich warunkach.
Jak na umarłych wyglądali całkiem zdrowo. Cała trójka rumiana, jakby ich ktoś na szybko podmalował plakatówkami. Może się wreszcie po śmierci wywczasowali do woli.
Tylko ubranie nie z tej pory roku. Cieplizna, a tu czapki, szaliki, kurtki, u dziewczynki rękawiczki na sznurku – wszystko mokre, ciężkie.
I boso.
Ktoś powiedział, zanim weszła w rzekę, zdjęła buty, sobie, chłopcu i dziewczynce. Poustawiała je równo obok wózka. W spacerówce ułożyła foliową torebkę z chlebem, parówkami, chrupkami dla dzieci.
Wybrała się na zakupy i zrobiła je. W drodze powrotnej coś ją całkiem od życia odwiodło.

Przy bramie też krótko stała. Przyszła pod mój dom. Nigdy wcześniej tu nie była.
A przylazła. Trudno było, droga polna, śnieg, zmarzlina, wózek się ślizga.
Ledwo do furtki podeszłam, nawet się chyba nie przywitała. Od razu gada, żebym jej dała na skrobankę.
Już mnie tu dawno uczennice zwęszyły, że jestem słaba i forsę na lekarza pożyczam. Wystarczyło jedną poratować. I poszło.
Przez kozła nie skoczą, tylko by się ruchały. A potem do mnie.
Nie rozmawiałyśmy. Stała za bramą. Psy się rozjazgotały. Trudno stado uciszyć.
Powiedziałam, że psy schowam. Nie chciała wejść do domu.
To w wózku płakało, przebudzone szczekaniem.
Dziewczynka patrzyła na mnie w strachu. Jakby bała się ludzi albo uczuła, że ode mnie tu wszystko zależy, i podebrała sobie ten strach od matki.
Kazałam jej poczekać.
Pobiegłam do domu, do pokoju, w którym nocuje ojciec, jak przyjeżdża na letnisko. To małe pomieszczenie, z wąskim oknem na ogród, a szafa nie jest mała, i z lustrem. Ojciec dużo się ogląda, siebie i za kobietami.
Roch zrobił tu porządki. Jak ma lepszą głowę, sprząta. Lubi się krzątać na kacu. Roch we wszystkim jest inny.
Włożyłam dłoń między pościel, wszystko stare, przetarte, ale się przydaje jako skarbonka. Ojciec wsuwał tam pieniądze. Po jego wyjeździe wpychałam kasę w puszkę po herbacie, wynosiłam na strych. Ten strych jest jak pamięć, sama graciarnia.
Trudno się tam wchodzi, drabina wąska, podryguje jak przęsło. Roch tu nie wejdzie, na bani trudno się wspinać. Ziut i na płaskim chodzi jak na sznurze między drzewami.
Wzięłam trochę papieru spomiędzy powłoczek, do tego więcej z puszki, poszłam do bramy i podałam pieniądze przez pręty.
Od razu chwyciła, jakby się bała, że się rozmyślę. Włożyła do torebki. Nosiła ją przez ramię, na brzuchu.
Dziecko w wózku już nie płakało, dała mu patyczek. Uśmiechnęłam się do dziewczynki, cofnęła się od tego. Matka poprawiła jej czapkę, a mała się w nią wtuliła.

Rozkazałam:

Przelicz. Może ci starczy.

Ale ja nie oddam, powiedziała.

A masz adres?

Pokiwała głową.

Ona już ma czynne. Spalili jej gabinet, ale znowu przyjmuje. Do niej jedź.

Pokiwała głową. I zaraz sobie poszła. Wykręciła wózek, chwyciła starszą, posadziła na biodro.

W nocy pomyślalam, że mogłam choć małą podrzucić na motorze do wsi.

Obudziłam Rocha, żeby zrobił kawę.

To już rano? Zapytał i polazł do kuchni. Psy za nim.

Kawę wypiłam w łóżku, patrząc na śpiącego Ziuta. Ładny widok.

Roch mnie zawołał. Usiadłam przy stole. Zrobił mi jajecznicę. Wziął chleb. Przekręcił bochen i na spodzie końcem spiczastego noża zrobił znak krzyża, w połowie znieruchomiał, spojrzał i puścił do mnie oko.

Patrzyłam, jak się krząta. Rano szybszy, z jakimś światłem, które zaraz zacznie zanikać. Podstawił mi patelnię i pajdy. Usiadł naprzeciwko, patrzył na mnie.

A co dobrego po nocy? Spytał.

Ubrałam się. Dres, grube skarpety do kolan, buty z kolcami na lód.

Roch siedział już nad szklaneczką. Twarz nieruchoma, uważna, dla niepoznaki: profesjonalny degustator.

Rozjaśniło się.

Biegam przez godzinę na żwirówce. Średni dystans w pętli: od domu do lasu. Szybko. Wolno. Kilka obrotów w lekkim biegu. Myślałam o niej, potem już nie.

Na pogrzeb nie poszłam. Na żadne pogrzeby nie chodzimy. Trzymamy się z dala.

A teraz pokazała mi się nad rzeką. Brzuch jej sterczał.

Nie wiem, zabrakło jej na skrobankę, może podrożało, za mało dałam. A może chciała zachować to dziecko albo przed śmiercią jeszcze coś ładnego sobie czy małym kupić.

Mam gest po ojcu. Ja jej tylko dałam pieniądze, nie musi się mi opowiadać. Jak ktoś chce się zabić, ma powód. W sprawie swojej

śmierci wie się lepiej.
Bolała mnie szyja, krtań, nachlałam się wody. Tyle lat w rzece, a nigdy się nie topiłam.
Wyciągnęłam się na brzeg, a ta stała i patrzyła na mnie, krzywy uśmiech, że to ona mnie uratowała.
Umarli oddają nam czasem drobne przysługi.

Mam strój do śpiewania…

Mam strój do śpiewania. Czasem robię występ w klubowym, bardziej dla siebie niż dla Ziuta czy Rocha.
Niewąski dekolt rozsadza suwak, sukienka węższa niż uda. Zrolowałam ją do pasa, na wierzch ubrałam dres.
Na koniec roku szkolnego na galowo się nie przebieram. Odzieżowo mi nie odwala. Występuję w kostiumie branżowym, dres, sportowe buty.
Ustawiła się kolejka do mojej kanciapy. Nie robię problemów. Wszystkich przepuszczam.
Dostałam dużo kwiatów i kilka gwizdków.
Nie mam tylu wazonów, podrzucę we flaszkach pod drzewo ojca. Na gwizdki mam parę szuflad. Tyle lat krzewienia kultury fizycznej, nazbierało się.
Poszłam do sali gimnastycznej.
Dyrektor przemawiał. Nie był pewny mikrofonu, krzyczał, słychać go było na dworcu. Szczęściem za głośno, żeby coś zrozumieć.
W tym czasie zmieniłam buty, z płaskich na szczudła. Białe w połysku, bardziej niż zęby ojca. Koturny jak reflektory. Dają po oczach.
Po rozdaniu świadectw i innych ględzeniach na okoliczność wskoczyłam na scenę.
Odsunęłam mikrofon. Daję radę bez sprzętu.
Powiedziałam kilka słów. O tych, co się tu utopiły, otruły, powiesiły. O księdzu, żeby mi do kanciapy zgłaszać. Taka konferansjerka.
Geografka wstała z twarzą jak do hymnu. Dyrektor z aktywem nauczycielskim, wyleniałe lizusy, chcieli mi przerwać. Tylko udawali. I tego nie umieją.
Rozebrałam się z dresów. Szczudła zaczepiły o nogawki, ale nie zwaliłam poprzeczki.
Zanim zrolowałam sukienkę w kierunku kolan, pokazały się majtki, srebro, cekiny, falowane w skórę żmii.

Górę i dół dresów rzuciłam w stronę dyrektora. Wiedziałam, że nie złapie. Ledwo co z podstawy programowej załapuje.
Potem rozejrzałam się po sali. Było napięcie, jakby czekali, aż odwalę salto mortale.

A teraz, drogie dzieci, Dolly Parton zaśpiewa tylko dla was.

I pojechałam. Śpiewam gorzej, niż wyglądam, ale proporcje estradowe są zachowane. Zrobiłam trzy kawałki. *Just the Way I Am*, *Heartbreak Express*, *Think About Love*.
I tak całkiem nie było, że sala gimnastyczna szaleje, drabinki się wyginają, dziewczyny, chłopcy drą mordy i cenzurki. Ale rozerwałam im serca. To akurat widziałam.

Poszliśmy nad rzekę…

Poszliśmy nad rzekę, ochłonąć po piciu w pokoju nauczycielskim.
Długo o suchym pysku nie siedzieliśmy. Tam są krzaki korzeniami w wodzie, robią za lodóweczkę. Popiliśmy sobie zdrowo.
Stanik i majtki – gładkie, sztuczne i śliskie, piękne. Rzadko się zdarza, żebym miała na sobie bieliznę do kompletu. Chciałam się wypluskać na oczach. I to zrobiłam.
Dyrektor leżał na trawie. Wyglądał jak zwierzę ze starych rycin, opuchnięty morświn, nostalgiczny waleń, z tego krzyżówka.
Patrzył na mnie, z wdzięcznością, ale nic nie zrobił, nawet nie zdjął skarpetek. Buty zawiesił na dwóch patykach wbitych w ziemię.
Od polskiego chciała się zabić. Co roku te same demonstracje. Najpierw się rzuca na nas, a potem ze skarpy. Stoi po kolana w wodzie, na rozstawionych nogach, sztywne kolana i płacze do siebie. Kiedyś to była bukietnica. Szybko opadła z urody jak polny kwiatuszek.
Trzeba dzwonić do syna. Czeka na ten telefon, bo jest za pięć minut.
Hamuje z piskiem. Wysiada gotowy do akcji, bosy, w sportowych majtkach.
Wchodzi w wodę, wybiera matkę, zarzuca na ramię i niesie jak linoleum, z grymasem. Wrzuca do tyłu, trzaska drzwiami. Odjeżdża bez słowa.
Na przywitanie też nic mówi, żadnego ukłonu. Jakby nas nie było.
Uczyłam go. Nie był łamagą. Dobra czasówka na sześćdziesiąt. Skończył szkołę, został dzieciorobem.
Fizyk podryguje nogą, jakby pies spodnie mu szarpał. Ładny dla oka nigdy nie był, a śmieje się jak zgraja dziwek. Gada o ruchaniu, nudno. To poczciwina, ale podniesione skargą słowa ładnie się niosą.
A na drugim brzegu siedzi nasza młodzież. To nie jest rzeka, to przepaść. Co roku jest mi tam dalej.
Uczniowie też piją, z większą kulturą, siedząc w kręgu, w ubraniach. Geografka wyjęła robótki ręczne, szaliczek jak dla pinczera.

Matematyczka usnęła, w zeszłym roku obniżyła zachowanie. Rozpaliliśmy ognisko, zrobiłam zawody skoku przez ogień, źle się odbiła i trochę się podpaliła. Krzyczała, jakby zwęgliła wary, a sfajczyła trochę łonowych.
Fizyk położył jej tam kamień, zimny, z rzeki. Łapała powietrze na rybkę, i tak leżała. Nie było widać, ekstaza czy życie z niej ściekało.
Teraz spokojnie. Tylko błagania, klękania, żebym jeszcze śpiewała.
Grono upaprane w nieszczęściu. Wszystko podpite, bekają od zimnego bufetu. Żal mi było, ale ja nie zabawiam na zamówienie. Zabawiam, kiedy chcę.

Walcie się, rzuciłam i dałam nura w rzekę.
Wynurzyłam się, a wszyscy smutni.
Wyszłam na brzeg, patrzyli, jak ociekam.

Trochę wam poćwiczę, powiedziałam.
Oklaskali mnie. Wyszło cicho, trudno po pijaku rączką w rączkę trafić.
Majtki, stanik precz na piach. Rozebrałam się do antycznego posągu i do szpagatu.
Jeszcze im dodałam trzy gwiazdy, a na finał w bonusie kobrę – ostry wychył i głowa między nogi.
Potem już mi się nie chciało zbierać ubrania. Poszłam do domu, spokojnie wzdłuż rzeki.
Patrzyli za mną. Odwracałam się, a oni ciągle siedzieli i patrzyli.

Tylko durnie żyją…

Tylko durnie żyją do końca. Ale tak właśnie żyjemy.
Mieszkam na odludziu, mam Ziuta, Rocha i dużo psów, na tym raj polega.
To był dobry rocznik dla bimbru i dobry rok dla śmierci, przychodziła do wsi często, nie wybrzydza. Do nas też zalazła. Wzięła sobie ojca i Elvisa. Pod koniec czerwca Roch rozbił sobie głowę. Czasem nie trafi we framugę. Ziut przyłożył mu do czoła nóż, dobrze zmrożony.
Leżeli tak razem, aż posnęli, mocno wtuleni, jak zarżnięci jednym pchnięciem.
Wróciłam z rzeki, a ich nie ma. Pokój klubowy pusty, znalazłam ich w łóżku.
Położyłam się obok. Nie zbudzili się, przez sen zrobili mi miejsce.
Nie mogłam spać. Mało snu, dużo bimbru. Mam w sobie sportowego ducha, szybko się regeneruję. Podniosłam gwizdek do ust, trochę pogwizdałam.
Zamiast snu przylazły psy. Łóżko niewygodne, a nigdy nie jest małe.
Potem były wakacje. Zwykłe, bez większej, mniejszej śmierci, krwi czy choćby trzech sznytów w sercu i na płocie. Nikt nie zabił i muchy.
Roch gotował w letniej kuchni, jedliśmy przy stole na trawie. Spaliśmy tam, gdzie nas zmorzyło, w ogrodzie, w sadzie, pod płotem.
Tylko Ziut układał się w łóżku. Jak każdy hydraulik nie był skłonny do brawury.
Julowa podrzuciła nam kota w worku. Roch ją widział, wieszała coś na sztachecie.
— Stój, bo strzelam, krzyknął.
Uciekła, zanim wyciągnął dla postrachu gnata.
Podbiegł na skarpę, Julowa płynęła wpław. Jak foka, szybko, tylko łeb wystawał.

Wyciągnęła się z koryta na drugi brzeg. Odwróciła się, patrzyła długo, jakby czekała na wystrzał. Potem ruszyła przed siebie, powoli, spokojnie, i weszła w las.
Zagrzebaliśmy kota na górkach.
Ziemia po Elvisie zarosła. Trawa po kolana.
Wróciliśmy do domu.
Co jeszcze, drogie dzieci?
Całe lato pływałam, nie tracąc ani jednego dnia na sprawy ważne.

koniec

Redaktorzy inicjujący: Elżbieta Kalinowska, Rafał Księżyk
Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska
Redakcja: Elżbieta Kalinowska
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Paulina Piorun
Zdjęcie wykorzystane na okładce: Zawody gimnastyczne podczas 2. Międzynarodowych Igrzysk Sportowych Młodzieży w Warszawie, 1955, Wojskowa Agencja Fotograficzna / zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-017 Warszawa, ul. Marszałkowska 116/122
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8425-527-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek
M2391

Zyta Rudzka

Tylko durnie żyją do końca